BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Kamena
LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW
CENA 2 ZŁ
LUBLIN 6.VII. 1969 Nr 14 (421) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Juliusz Willaume

W kręgu Napoleona

Strona 3

Krzyżówka str. 11

PODGRYZACZE czyli rzecz o biurokracji

KAŻDY z nas zetknął się praktycznie ze zjawiskiem, które powszechnie nazywamy biurokracją, a naukowcy biurokratyzmem. Sprawa nie jest znowu wcale taka nowa, jak nam się wydaje. Już przed 300 laty pojawia się pierwsza jakby definicja biurokratyzmu w pamflecie francuskim: *Oto około pięćdziesiąt tysięcy ludzi (urzędników) całkowicie niepożytecznych, których stany nie uznają za nic innego, jak za podgryzaczy i niszczycieli państwa, króla i jego biednego ludu.*

Lenin też niejednokrotnie zabierał głos na ten temat. W jego listach z 1922 r. znajdziemy takie np. sformułowania: *„zorganizować walkę z mitręgą biurokratyczną rzeczowo według wszelkich zasad sztuki wojennej", „plugawe bagno biurokracji", „pisanie papierków, rozprawianie o dekretach, pisanie dekretów", „w tym morzu papierków tonie żywa praca.*

I dobrze się stało, że Oddział Lubelski Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, przy współudziale Wydziału Ekonomicznego UMCS, zorganizował w dniach 17 i 18 czerwca br. konferencją naukową na temat „Organizacja zarządzania a biurokracja i biurokratyzm". W opracowaniach wykorzystano badania naukowe przeprowadzone w Zakładzie Prakseologii PAN pod kierownictwem prof. dr J. Zieleniewskiego i w Katedrze Teorii Organizacji i Zarządzania SGPiS pod kierunkiem prof. dr J. Kurnala. Sekretarzem naukowym konferencji był adiunkt Katedry Ekonomiki Przemysłu UMCS, dr Zbigniew Szeloch.

Dokończenie na str. 9

Robotnicy Lublina

Mirosław Derecki

Monolog inżyniera

NIGDY człowiek nie wie, jak mu się los ułoży. Na przykład z tym domem: już, już wydawało mi się, że robota skończona, że nareszcie będzie można odpocząć, pojechać na prawdziwy urlop, do Bułgarii, wygrzać się na słońcu, wykąpać w słonej wodzie, a tu się nagle, proszę pana, okazuje, że ściany zaczynają pękać, chałupa osiada i cała robota na nic. Więc zamiast do hotelu w Złotych Piaskach, przenieśliśmy się na całe lato z żoną i dzieciakami do komórki, a ja te mury, które jeszcze kilka miesięcy temu własnymi rękami stawiałem, musiałem rozbierać i znowu własnymi rękami cegłę na cegle, pustak na pustaku, stawiać. Akurat rok minął, jak po raz drugi dom sobie wymurowałem. Nieraz zły jestem na siebie, ale znowu myślę: niby skąd miałem się znać na budownictwie?. Ja jestem inżynierem-mechanikiem a nie budowlańcem, nigdy się roboty murarskiej nie uczyłem, byłem za to milicjantem, żołnierzem, strażakiem, konstruktorem lotniczym, teraz się jeszcze bawię w ogrodnika, to mi chyba „zawodów wyuczonych" wystarczy? Zresztą dom stoi i drugi raz już popękać nie ma prawa.

Działka to własność żony, dostała po ojcu. Obsadziliśmy ją żywopłotem z mirabelek i założyliśmy sad orzechowy. Lubię drzewa orzechowe. Dają dużo cienia, a liście pięknie pachną. No i nie bez tego, że orzechy się opłacają finansowo, a roboty przy nich nie za wiele.

Niektórzy koledzy się śmieją: „ledwie Winiarczyk został inteligentem pracującym, od razu przekwalifikował się na chłopa". A czy dyplom inżyniera zmusza do mieszkania w mieście? Ja zrezygnowałem z mieszkania w blokach w Świdniku i wcale nie żałuję. Tam miałem przez osiem godzin łomot w hali montażowej, a przez resztę czasu, w domu, hałas z ulicy. Tutaj, w Kazimierzówce, cisza aż w uszach dzwoni. Do Świdnika polami nie tak daleko, ze trzy kilometry, latem to jest przyjemny poranny spacer; jak mi się nie chce iść, mamy przecież autobusy z fabryki... Poza tym — z chłopów jestem, na wsi się urodziłem i na wsi się najlepiej czuję. Z drugiej strony aż mi się śmiać czasem chce — przecież ja w ciągu kilkunastu lat pracy tak się związałem, zżyłem z zakładem, z WSK w Świdniku, że mi się widzi, jak by to było moje gospodarstwo... Fakt, pracuje się tutaj niemal od momentu wbicia pierwszego kołka pod ogrodzenie. Cała moja rodzina pracuje w WSK. Bo tak: brat Stanisław jest konstruktorem, drugi brat, Jan — czyli ja — kierownikiem Wydziału Montażu Motocykli, siostra Zofia po skończeniu chemii na UMCS pracuje w biurze głównego metalurga, a druga — Maria — jest urzędniczką w kadrach. Tylko brat Stefan „zdradził". Jest zawodowym oficerem, majorem. Nawet ojciec pracuje w zakładzie. Jako portier.

A ojciec, proszę pana, był kiedyś kowalem. Miał pięcioro dzieci, kawałek gruntu we wsi Blinów w Kraśnickiem, a że własnej kuźni nie posiadał, zatrudniał się u właściciela majątku, Kuczyńskiego. Bogato w domu nie było, bo ojciec chciał nas wszystkich wykształcić, a na to potrzebne są pieniądze. Zresztą nie on jeden w naszej rodzinie kształcił dzieci. Na przykład mój wujek miał dwie morgi całego majątku, ale jednego syna oddał jeszcze przed wojną do szkoły podoficerskiej, a drugiego do gimnazjum. Nie bogaty był wujek, ale i nie głupi, należał do „Wici", zawsze mawiał, że nauka wprawdzie z głupiego mądrego nie zrobi, ale mu i nie zaszkodzi, a w życiu tylko pomoże.

Ja byłem najstarszy z rodzeństwa — urodziłem się w 1928 roku — więc, kiedy skończyłem szkołę powszechną, ojciec wysłał mnie na naukę do Gimnazjum Mechanicznego w Lublinie na Czwartku. Był rok szkolny 1943/44 i chociaż w mieście Niemcy się panoszyli, to w terenie pełno już było partyzantów i ja się przypadkowo z tymi partyzantami związałem.

A było to tak: miałem w klasie kolegę, Edka Gocha, z sąsiedniej wioski, z którym co sobotę jeździliśmy do domu. Edek wysiadał w Rzeczycy, jego rodzice prowadzili

Dokończenie na str. 6

Piekło pod Akropolem

NIEWIELE informacji dociera do nas z Grecji. Junta wojskowa, która objęła władzę w tym kraju, rządzi przy pomocy terroru, gnębi wszelkie przejawy wolnościowe. Ostatnio tygodnik amerykański „Look" zamieścił artykuł pióra Christophera Wrena. Autor ujawnia fakty, które powinny wstrząsnąć opinią publiczną całego świata.

Nie wierzyłem w to — stwierdza Wren na wstępie. — *Napływające z Grecji od dwóch lat, od czasu przewrotu wojskowego, doniesienia o torturach były tak groteskowe, że wydawały się nierealne, trzeba było pojechać do Grecji, by zmienić zdanie. Przedsiębiorcy, księża, oficerowie, adwokaci, gospodynie domowe i studenci w Atenach przekonali mnie. Byli więźniowie polityczni, jeden po drugim, opisywali mi w najdrobniejszych szczegółach przeżytą udrękę i pozwalali mi obejrzeć, a nawet dotknąć pozostałe blizny. Jestem obecnie przekonany. W Grecji stosowano tortury wobec ofiar, których liczbę mierzy się w tysiącach. Również dziś, żyjący w strachu i nie popularny reżim kontynuuje stosowanie tortur.*

Autor opisuje następnie relację 28-letniego aktora ateńskiego Periclesa Korevessisa, aresztowanego przez grecką policję bezpieczeństwa, noszącą nazwę Asphalia. Korevessis może obecnie mówić, gdyż wraz z swą żoną uciekł z Grecji.

Pewnego poniedziałku, o 3 nad ranem, pięciu uzbrojonych mężczyzn w cywilu wtargnęło do jego mieszkania. Ich dowódca, Odyseff Spanos, powiedział im, czego mają szukać: „Każda gruba książka jest książką komunistyczną". Policja skonfiskowała dziesięć taśm z nagraniami muzyki ludowej, komplet nagrań lekcji języka angielskiego, nadawanych przez BBC, maszynę do pisania oraz klasyczne dzieła Arystotelesa, Sofoklesa i Ajschylosa.

Korevessisa zabrano do gmachu Asphalii. Tutaj zaprowadzono go do małego pokoju na najwyższym piętrze, gdzie przeprowadza się badania. Na środku stała drewniana ława, wyblyszczona od częstego używania. Przywiązali do niej więźnia. Jeden z mężczyzn usiadł mu na piersi, a drugi chwycił trzonek od łopaty i zaczął nim bić Korevessisa w wystające poza ławę stopy.

Metodę tę — stwierdza Wren — *nazywa się „falanga". W gmachu przy ul. Boubolinas ofiarom pozostawia się zazwyczaj obuwie na nogach, zmniejsza to ilość widocznych blizn, przedłuża czas bicia i jest szczególnie bolesne, gdyż puchnące stopy w końcu rozsadzają obuwie. „Jak ci się to podoba?" — pytanie oprawcy. „To tylko próbka". Korevessis na próżno próbował zginać stopy, aż wreszcie spuchły one tak, że wypełniły bez reszty buty. Krzycząc, stracił rachubę uderzeń. Spanos zręcznie podniósł kijem umoczoną w urynie szmatę z otworu toaletowego, znajdującego się w kącie pokoju. Pewien pomocnik powstrzymał go: „proszę pana, to moja robota. To dla pana za brudne". Korevessis zemdlał, gdy mokrą szmatę wtłoczono mu w usta.*

Gdy odzyskał przytomność, zapytali go, czy ma coś do powiedzenia, po czym na nowo zabrali się do jego stóp. Korevessis nadal jeszcze pamięta: „Było to tak okropne, że zdawało mi się, iż ktoś bije mnie po głowie. To tak, jak gdyby bili po całym ciele. Po chwili nie mogłem już nawet krzyczeć". Ponownie zemdlał, odzyskał przytomność i zwymiotował. Odwiązali go. Jeden z policjantów powiedział: „Popatrz,

Dokończenie na str. 2

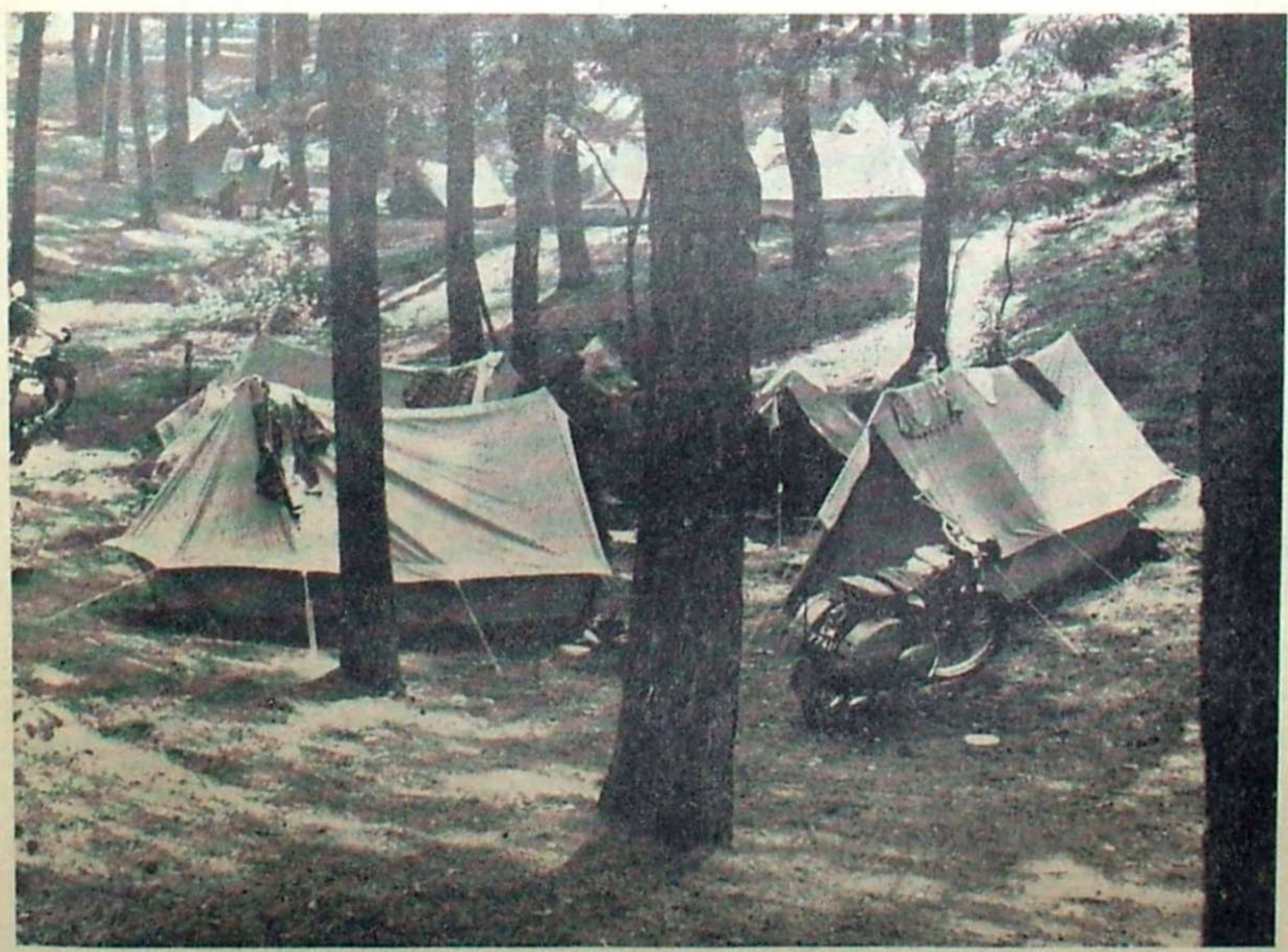

Lato, lato... Fot. Zbigniew Zugaj

teatrnn.pl

Kultura 1969

Zmarli

* 67-letni wybitny dramatopisarz i prozaik Jerzy Zawieyski. Przed pierwszą wojną światową występował jako aktor w „Reducie". Do jego najbardziej znanych dramatów należą „Dyktator on" (1934), „Powrót Przełęckiego" (1926). Po wojnie grano kilka jego sztuk, m. in. „Rozdroże miłości", „Ocalenie Jakuba", „Wysoka ściana". Jest autorem szeregu powieści, tomu opowiadań i kilku scenariuszy filmowych. Był posłem na Sejm z ramienia Koła Katolickiego „Znak", i członkiem Rady Państwa.

* W Kalifornii 57-letni głośny aktor filmowy Robert Taylor, który wystąpił w ponad 70 filmach. Był m. in. partnerem Grety Garbo i Jean Harlow.

* W nie wyjaśnionych okolicznościach w Wiesbaden (NRF) zmarł Marek Hłasko. Przed 11 laty Hłasko zdradził Polskę i wyjechał najpierw do Izraela, a następnie do Wielkiej Brytanii i NRF. Od jego czasu napisał szereg opowiadań szkalujących Polskę Ludową.

Literatura

* Z okazji 40-lecia pracy twórczej Gabrieli Pauszer-Klonowskiej odbyło się jubileuszowe spotkanie w warszawskim Domu Literatury.

* Monika Warneńska otrzymała Grand Prix Międzynarodowej Organizacji Dziennikarskiej za twórczość dziennikarską i literacką, związaną z walką narodu wietnamskiego.

* W tym roku ukażą się aż cztery nowe utwory Wilhelma Szewczyka: powieść polityczno-obyczajowa „Dzikie wino", powieść o tematyce okupacyjnej „Gadzi raj", szkice o współczesnej literaturze niemieckiej „Okulary z firmy Brauxel and Co" oraz zbiór felietonów „Co robią Niemcy".

* Roman Wantuła pisze powieść „Romans Luizy", ukazującą drogę życiową dwóch kobiet w ostatnim ćwierćwieczu. Wkrótce ukaże się tom jego opowiadań współczesnych „Wycieczka z narzeczoną".

* W najbliższych dniach nakładem wrocławskiego „Ossolineum" ukaże się cenna dla bibliofilów praca popularno-naukowa Zbysława Arcta „Dziwne historie książki".

* W ZSRR ukażą się w tym roku m.in. powieści „Dni klęski" Wojciecha Żukrowskiego i „Aecjusz — ostatni Rzymianin" Teodora Parnickiego.

* Na Węgrzech ukazała się powieść Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie" w tłumaczeniu Romany Dimev.

* Jeden z najwybitniejszych pisarzy słowackich, P. Jilemnicki, znany jest u nas z powieści „Kawałek cukru", „Kronika" i „Nieorane pole". W 20 rocznicę jego śmierci w Ośrodku Kultury Czechosłowackiej w Warszawie odbył się wieczór poświęcony jego pamięci.

* Po kilkunastu latach François Mauriac opublikował nową powieść — „Chłopak z minionej epoki". Jest to kronika życia prowincjonalnej rodziny mieszczańskiej, a bohaterem człowiek, targany żądzą życia i wiarą w Boga.

* W Weimarze obradowało Towarzystwo im. Goethego, założone w 1885 r. Udział wzięli uczeni z 17 krajów, omawiając znaczenie spuścizny pisarza dla rozwoju współczesnej literatury i myśli postępowej.

Teatr

* W Teatrze Polskim we Wrocławiu odbyła się premiera bardzo mało znanej sztuki St. Wyspiańskiego „Protesilas i Laodamia" w reżyserii Henryka Tomaszewskiego, dyrektora Teatru Pantomimy. Tomaszewski wkrótce zrealizuje „Klątwę" Wyspiańskiego w Oslo.

* Pod koniec roku odbędzie się prapremiera widowiska teatralnego Ernesta Brylla „Na szkle malowane". Bryl pisze już następną sztukę, ponadto wkrótce ukaże się nowy tomik jego wierszy „Fraszka na dzień dobry".

* II Międzynarodowy Festiwal Festiwali Teatrów Studenckich odbędzie się we Wrocławiu w dniach 18—26 października. Zaproszono 12 teatrów studenckich, z krajowych — także lubelski „Gong 2".

* Do Polski przyjedzie teatr japoński „Haiyuza", który wystawia współczesne sztuki europejskie (m.in. „Niemców" i „Pierwszy dzień wolności") oraz teatr tradycyjny i opera, a także słynna rewia „Nihigeki".

* W jednym z teatrów w Kairze odbyła się premiera „Dobrego człowieka z Seczuanu" Brechta, a przygotowuje się „Kaukaskie kredowe koło". Ostatnio w ZRA co trzecia grana w teatrach sztuka jest zagraniczna, głównie klasyka.

Aktorka angielsko-francuska Jacqueline Bisset występowała już w kilku filmach. Oto kadr z filmu „The Sweet Ride", którego akcja toczy się na ulicy w Kalifornii.

Sztuka

* Dwa jubileusze — 80-lecia urodzin i 60-lecia pracy twórczej — obchodzi w tym roku Marian Moskwa. Nie ulegając modom zawsze pozostał wierny morzu i malarstwu realistycznemu. Namalował kilka tysięcy obrazów, z których piękny cykl obrazów historycznych, liczący 44 płótna uległ zniszczeniu w czasie wojny.

* Na wyspie koło amfiteatru (znanego z festiwali) w Opolu powstanie rezerwat archeologiczny, w którym udostępnione zostaną pomnikowe relikty kultury polskiej sprzed tysiąca lat, a pochodzące z tzw. Ostrówka pomiędzy ramionami Odry.

* W Krakowie na Dębnikach odkopano cmentarzysko szkieletowe z 42 grobami z XI wieku, położone na szczątkach osadnictwa z X wieku — a więc o 300 lat starsze od dotychczas znanych. Dodatkową rewelacją jest fakt, że w pobliżu odkryto zabytki kultury z okresu paleolitu, a więc sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat.

* W Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie wystawiono 80 prac studentów akademii sztuk pięknych w Helsinkach — malarstwo i grafikę.

* Po Londynie, Mediolanie i Padwie otwarto w Rzymie wystawę „Polska literatura za granicą". Eksponowano ok. 1300 książek współczesnych autorów polskich, wydanych po wojnie w 70 krajach świata.

* W Londynie otwarto wystawę pt. „Detektyw w sztuce: malarstwo i rentgen". Obok eksponatów malarzy z XV—XIX wieku zamieszczono rentgenowy portret tego, co znajduje się pod wierzchnią warstwą — czasem są to świadectwa zmian koncepcyjnych twórcy, czasem fałszerstwa.

* W San Domingo natrafiono na ślady cywilizacji ludów, żyjących tam przed 2 tys. lat. Znaleziono m.in. figurki ludzi i zwierząt, wykonane ze stalaktytów i stalagmitów.

Muzyka

* Z okazji 200 rocznicy urodzin kompozytora Józefa Elsnera, nauczyciela i przyjaciela Chopina, w Gródkowie woj. opolskim odbyły się uroczystości rocznicowe.

* W październiku Opera Poznańska będzie obchodziła jubileusz 50-letniej działalności artystycznej. Na inaugurację obchodów zostaną wystawione „Harnasie".

* Warszawski teatr „Syrena" wystąpił z premierą komedii muzycznej „Lord z walizki" według Oscara Wilde'a, w adaptacji Wł. Krzemieńskiego i L. J. Kerna, z muzyką T. Dobrzańskiego.

* We wrześniu odbędzie się w Słupsku siedmiodniowy III festiwal pianistyki polskiej.

* Dyrektor Opery Poznańskiej, Robert Satanowski, przed kilkunastu laty dyrektor filharmonii w Lublinie, dyrygował kilku przedstawieniami „Lohengrina" Wagnera w Zurichu.

* W miesięczniku „Literatura radziecka" ukazał się obszerny artykuł wybitnego muzykologa Igora Bełzy pt. „Stanisław Moniuszko a rosyjska kultura muzyczna".

* W Parmie spotkali się muzycy Polski i Włoch przeprowadzając rozmowy na temat włosko-polskich kontaktów muzycznych w okresie Odrodzenia i Baroku.

* Kompozytorem, którego utwory najczęściej nadaje radio meksykańskie, okazał się — Chopin.

* Z okazji setnej rocznicy śmierci kompozytora Hektora Berlioza Londyńska Orkiestra Symfoniczna dała koncert jego utworów, występując w składzie 650 muzyków.

* W Gratzu odnaleziono nie znany dotąd 23-stronicowy manuskrypt „Fantazji" na fortepian i orkiestrę, którą napisał Schubert w 1817 r., mając zaledwie 20 lat.

* W czasie przyszłorocznej międzynarodowej wystawy „Expo-70" odbędzie się w Osaka konkurs na najlepszą wykonawczynię roli tytułowej w operze „Madame Butterfly". Zapowiedziały udział śpiewaczki z 45 krajów.

Film

* W okolicach Jeleniej Góry reż. Jerzy Passendorfer rozpoczął nakręcanie filmu fabularnego „Dzień oczyszczenia" według scenariusza Jerzego Przeździeckiego. Jest to opowieść o niełatwym okresie rodzenia się współpracy i przyjaźni pomiędzy partyzantką polską i radziecką na Podhalu w 1943 r.

* Od 20 sierpnia do 20 września odbędą się w ZSRR uroczystości jubileuszowe z okazji 50-lecia kinematografii radzieckiej.

* 7 lipca w kremlowskim Pałacu Zjazdów rozpocznie się VI Międzynarodowy Festiwal Filmowy. W jury konkursu będzie także reż. Jerzy Kawalerowicz.

* W wyniku plebiscytu 48 tys. czytelników dwutygodnika „Sowietskij Ekran" para najpopularniejszych aktorów radzieckich okazali się Tatiana Doronina i Stanisław Lubszin, a najlepszym filmem — „Dożyjmy do poniedziałku".

Różne

* Minister kultury i sztuki Lucjan Motyka przebywał z kilkudniową wizytą w Rumunii. Przeprowadzono rozmowy na temat dalszego rozszerzenia polsko-rumuńskiej współpracy kulturalnej.

* Najsławniejszy obok Nikifora polski malarz prymitywista Teofil Ociepka kupił w Bydgoszczy domek i przeniósł się tam ze Śląska. Jak twierdzi, zadecydowały o tym lepsze warunki klimatyczne w mieście nad Brdą. Ociepka ma 72 lata.

* W Sztokholmie i w innych miastach Szwecji jesienią odbędzie się wystawa numizmatyczna „Polskie pieniądze papierowe i monety".

* Od 31 maja do 8 czerwca odbyły się na Węgrzech „Dni książki". Váci, słynna ulica handlowa w Budapeszcie, stała się ulicą książki.

* Na wyspie Ziemia Baffina, leżącej na granicy kręgu polarnego, wychowawczynią dzieci eskimoskich jest pochodząca z woj. rzeszowskiego Janina Świetlik. Gdy niedawno przyjechał tam polski filmowiec, St. Szwarc-Bronikowski, dzieci pięknie odtańczyły i odśpiewały zbójnickiego. Pani Świetlik za kilka lat zamierza wrócić na stałe do kraju.

* W Ułan Bator eksponowana jest wystawa fotograficzna „Upowszechnienie kultury w PRL".

Kamena str. 2

Piekło pod Akropolem

Dokończenie ze str. 1

zabrudziłeś podłogę. Musisz to wylizać". Korevessis nie mógł stać. Jego buty były podarte i widać było pokiereszowane stopy wyglądające jak niewypieczone ciasto". Dwóch mężczyzn zaciągnęło go do piwnicy. Wsadzili do pozbawionej okna celi, nie dając mu wody ani jedzenia.

Następnego dnia znowu zabrali go na górę. Przełożony Spanosa, Constantine Karapanayiotis, zwierzył mu się: „Wiemy, że nie jesteś komunistą, bo twoja rodzina jest rojalistyczna. Chcemy, abyś nam pomógł. Podaj nam nazwiska dwóch swoich przyjaciół, których nie lubisz". Korevessis odmówił. „Każdy, kto tu przychodzi, mówi — ostrzegł go Karapanayiotis. — Ty nie popsujesz nam tej statystyki".

Do pokoju wszedł elegancki Basile Lambrou, dyrektor Asphalii. „Ja tu jestem szefem — oznajmił. — Nie ma sensu udawać bohatera, bo każdy tutaj musi mówić". Korevessis oświadczył, że kiedy wyjdzie, złoży protest. „Nigdy ci się to nie uda — zaśmiał się Lambrou. — Wszyscy wierzą nam a nie tobie. Nam jest bardzo łatwo ciebie poniżyć. My jesteśmy rządem, a ty jesteś niczym. Rząd nie jest też sam. Za rządem stoją Amerykanie". [...] Gdy Korevessis oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia, zaczęła drgać szczęka Lambrou. „A więc zmów pacierz" — warknął.

Korevessisa oddano w ręce kolejnego oprawcy Gravaritisa. Rozpoczął on od falangi, tym razem przy pomocy rury żelaznej. Po dziesięciu uderzeniach przerwał i powiedział: „Twoja prawa noga jest już złamana, jeśli chcesz uratować drugą, zacznij mówić". Bicie zostało wznowione. „Czułem ból nawet w paznokciach ręki" — wspomina dziś Korevessis.

W następstwie tych tortur — pisze dalej Wren — *Korevessis zemdlał, a kiedy odzyskał świadomość Gravaritis uderzył go w twarz a następnie dwoma palcami zaczął mu gnieść oczy... Więzień symulował omdlenie, aż poczuł, że biją go prętem po jądrach. Kiedy Gravaritis wepchnął mu pręt żelazny w odbytnicę, zemdlał. Wówczas wszedł Lambrou z pomocnikami i zaczęli kopać Korevessisa. Karapanayiotis natarł mu usta ostrą papryką, przełamał ją i wtarł mu kawałki papryki do nosa i oczu. Inny mężczyzna wlał mu do gardła amerykański płyn do prania i wreszcie, gdy więzień leżał ciężko dysząc, wepchnięto mu papierosa w wargi. Wszyscy roześmieli się. „Widzisz, co dzieje się z ludźmi, którym nie podoba się demokracja!" — pouczył go Lambrou.*

Teraz zaczęła się inna faza tortur. Przywieziono go do szpitala wojskowego nr 401 w centrum Aten i tu torturowano prądem elektrycznym z „czarnego pudła". Wielu mężczyzn w białych kitlach przyglądało się temu, aby stwierdzić, ile wstrząsów wytrzyma jego serce. „Ta mała machina mogła człowieka doprowadzić do szału. Trząsłem się jak kawałek papieru" — wspomina Korevessis. Nigdy jednak nie zaczął sypać, bo jak twierdzi, nie miał nic do powiedzenia. Następnie przez sześć miesięcy, aż do zwolnienia przesyłano go z więzienia do więzienia.

Falanga — pisze Wren — *jest podstawową formą tortury, ale nie jedyną. Dokonuje się pozorowanych egzekucji, często nad wykopanym grobem. Pewna dziewczyna z Salonik przywiązana została liną do helikoptera i zanurzana w Morzu Egejskim tak długo, aż zaczęła zeznawać. Pewnego wybitnego adwokata powieszono za nogi. Cichą brunetkę o długich włosach pozbawiono dziewictwa przy pomocy kija od mioteły. Opowiedziano mi o pewnym filmowcu, któremu spalono wąsy. W biurach Asphalii w centrum Pireusu wicedyrektor tego urzędu, Sotiris Kouvas, uzyskuje zeznania przy pomocy ciężkiej metalowej obręczy, którą zakłada podejrzanemu na głowę i następnie powoli zaciska, zakręcając śruby [...] Często naskuteczniej działa terror psychologiczny. W pewnym więzieniu bijące dzwony nie pozwalają więźniom spać. Skuteczne są również groźby gwałtu lub sodomii. Pewna 35-letnia panna wytrzymała 14 dni falangi. Załamała się jednak, gdy oprawcy rozebrali ją i zaczęli molestować seksualnie. Usiłowała później powiesić się.*

Rząd zabrania udzielania jakiejkolwiek pomocy rodzinie aresztowanego. Człowiek taki staje się bardziej podatny na presję, gdy musi martwić się o losy rodziny. Pewnego majora zagrzebano po szyję w ziemi i kazano patrzeć, jak bije się jego syna.

Georgia Pangopoulou została aresztowana wraz ze swym narzeczonym, Constantinem Meletisem. Torturowano ich w sąsiednich pokojach koszar wojskowych w Salonikach, tak, by mogli słyszeć, jak drugie z nich krzyczy. Pewien oficer poprzecinał jej nożem twarz. — Idź, spójrz do lustra, jak pięknie wyglądasz — polecił jej... Żona pewnego studenta, która była od dwóch miesięcy w ciąży, poroniła po falandze. Więzień z ulicy Boubolinas powiedział mi, że niektórzy ludzie mogli się tylko czołgać do ustępu. Pewien młody mężczyzna był tak pokiereszowany, że jego przyjaciółka zwymiotowała, kiedy go zobaczyła.

Wren stwierdza w dalszym ciągu wstrząsającego artykułu, że obiektem tortur są ci, których junta obawia się najbardziej: intelektualiści, młodzież i przedstawiciele lewicy.

Oczywiście dyktatura nie chce się przyznać do stosowania tortur. Fakty są jednak wymowne. Szwecja, Norwegia, Dania i Holandia oskarżyły Grecję w Radzie Europejskiej o pogwałcenie Konwencji o Prawach Człowieka. A tymczasem Stany Zjednoczone znów udzielają Grecji pomocy wojskowej. Kraj ten potrzebny jest NATO.

Wydajemy rocznie około 40 mln dolarów z kieszeni amerykańskich podatników na pomoc dla rządu, który sprawuje władzę przy pomocy tortur. Czy naprawdę tego chcemy? — zapytuje Wren w zakończeniu swojego artykułu. I opisuje jeszcze swoją rozmowę z pewnym księdzem, który powiedział do niego: „Kiedy cudzoziemiec przyjeżdża do Grecji, dostrzega słońce i niebo; wydaje mu się, że wszystko jest w porządku. W rzeczywistości w ludziach, których widzi pan na ulicy płonie nienawiść. Dojdzie to jeszcze do takiej eksplozji, jakiej nikt nie oczekuje".

Żadnego komentarza nie będziemy dopisywać...

Narada

W dniach od 5 do 17 czerwca odbyła się w Moskwie Międzynarodowa Narada 75 Partii Komunistycznych i Robotniczych, która m. in. uchwaliła dokument „Zadania walki przeciwko imperializmowi na obecnym etapie oraz jedność działania partii komunistycznych i robotniczych, wszystkich sił antyimperialistycznych". Z dokumentu tego przypominamy kilka zdań:

Sytuacja, jaka się ukształtowała, wymaga jedności działania komunistów, wszystkich sił antyimperialistycznych po to, aby — wykorzystując maksymalnie wszystkie nowe możliwości — rozwinąć szerszą ofensywę przeciwko imperializmowi, siłom reakcji i wojny...

Imperializm nie jest w stanie odzyskać utraconej historycznej inicjatywy, cofnąć rozwoju współczesnego świata. Główną drogę rozwoju ludzkości wytycza światowy system socjalistyczny, międzynarodowa klasa robotnicza, wszystkie siły rewolucyjne...

Wydarzenia ostatnich 10 lat z jeszcze większą siłą obnażyły oblicze imperializmu amerykańskiego jako światowego wyzyskiwacza i żandarma, nieprzejednanego wroga ruchów wyzwoleńczych...

Aby położyć kres zbrodniczej działalności imperializmu, który może sięgnąć na ludzkość jeszcze większe nieszczęścia, klasa robotnicza, siły demokratyczne i rewolucyjne, narody powinny zjednoczyć się i występować wspólnie. Okiełznanie agresorów, wyhamowanie ludzkości od imperializmu — to misja, która przypadła w udziale klasie robotniczej, wszystkim siłom antyimperialistycznym, prowadzącym walkę o pokój, demokrację, niezawisłość narodową i socjalizm...

Świadome swej historycznej odpowiedzialności, reprezentowane na Naradzie partie komunistyczne i robotnicze, zwracają się do wszystkich komunistów świata, do wszystkich przeciwników imperializmu, do tych wszystkich, którzy gotowi są walczyć o pokój, wolność i postęp z propozycją jednolitych działań...

Podstawowym ogniwem jedności działania sił antyimperialistycznych pozostaje nadal walka przeciwko niebezpieczeństwu światowej wojny termonjądrowej, która nadal zagraża narodom masową zagładą. Walka o pokój na całym świecie...

Wierność marksizmowi-leninizmowi, proletariackiemu internacjonalizmowi, ofiarna i wierna służba interesom swego narodu, wspólnej sprawie socjalizmu — jest niezbędnym warunkiem skuteczności i właściwego kierunku jednolitego działania partii komunistycznych i robotniczych, jest rękojmią sukcesu w osiągnięciu przez nie swych historycznych celów...

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Z udziałem przedstawicieli wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych odbyła się sesja Białostockiego Towarzystwa Naukowego, poświęcona rozwojowi nauki na Białostocczyźnie w 25-leciu PRL.

◆ W województwie białostockim przebywała delegacja radzieckich działaczy kultury z obwodu grodzieńskiego.

◆ Na osiedlu Sienkiewicza Białostockiej Spółdzielni Mieszkaniowej istnieje dziecięce ognisko plastyczne. 25 dzieci dwa razy w tygodniu przychodzi na zajęcia, prowadzone przez artystę-plastyka Mikołaja Wołkowyckiego.

Fara w Tykocinie.

Fot. Józef Rybiński

◆ W Galerii „Brama" czynna jest wystawa malarstwa Magdaleny Heyde-Usarewicz, Edwarda Bobera, Wiesława Markowskiego i Włodzimierza Łajminga.

◆ Białostoccy rzemieślnicy ufundują insygnia rektorskie i togi dla wyższych uczelni Białegostoku.

KIELCE

◆ W Krzemionkach Opatowskich koło Ostrowca otwarto archeologiczny rezerwat muzealny — kopalnię krzemienia sprzed 5 tysięcy lat.

◆ Dni Folkloru Opoczyńskiego, obchodzone w tym roku po raz piąty, miały bardzo atrakcyjny program: występy ludowych zespołów artystycznych, kiermasz, na którym można było kupić opoczyńskie koronki, hafty i pasiaki, rzeźby i ceramikę. Sesja naukowa II Opoczyńskiego Ogólnopolskiego Sejmiku Turystycznego zgromadziła wielu etnografów, znawców ludowej twórczości i dziennikarzy.

◆ W V Spotkaniach Teatrów Lalkowych Polski Wschodniej wzięły udział zespoły teatrów lalki i aktora z Białegostoku, Kielc, Lublina i Rzeszowa oraz Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Pleciuga" ze Szczecina.

LUBLIN

◆ Zespół Państwowego Teatru im. J. Osterwy przebywał w Skopje. Nasi aktorzy przedstawili w Jugosławii dwie sztuki — „Kleopatrę i Cezara" Norwida i „Hamleta" Szekspira.

◆ W roku bieżącym puławski Klub Twórców i Artystów Ludowych, zrzeszający ponad 150 członków, obchodzi dziesięciolecie swego istnienia. Z tej okazji w PDK zorganizowano wystawę-konkurs twórczości ludowej powiatu puławskiego, na której pokazano wyroby artystycznego kowalstwa, tkactwa, plecionkarstwo, garncarstwo i wycinanki.

◆ W salach BWA wystawiano malarstwo, rysunek i grafikę Włodzimierza Chomicza.

◆ Z inicjatywy działaczy społecznych i kulturalnych powstało Towarzystwo Miłośników Ziemi Włodawskiej. Prezesem Towarzystwa został Piotr Kołodziejczyk.

RZESZÓW

◆ Z okazji „Dni Rzeszowa" Zakład Literatury Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej wespół z rzeszowskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk, Oddziałem T-wa Literackiego im. A. Mickiewicza zorganizował sesję popularnonaukową o życiu i twórczości Jana Wiktora; otwierają referat doc. dr Jana Korpały „Jan Wiktor — pisarz i społecznik".

◆ Znany artysta, laureat wielu nagród, prof. Mieczysław Wejman z Krakowa, obecny był na otwarciu wystawy swych prac w salach Domu Sztuki w Rzeszowie. Artysta, który po wyrzeźbieniu swą działalność artystyczną rozpoczynał w Rzeszowie, opowiedział licznie zgromadzonej publiczności o arkanach swego warsztatu twórczego, a przede wszystkim o motywie „roweru", któremu poświęcił — eksponowany w Rzeszowie — duży zespół grafiki.

◆ Przyciągające coraz więcej turystów, III z kolei Dni Folkloru Podkarpacia w Dynowie — miasteczku powiatowym Brzozów — połączono z pokonkursową wystawą „Wiosennej plastyki obrzędowej województwa rzeszowskiego", na której pokazano również stare pisanki, fujarki, trąbity i inne instrumenty, dostarczone przez ludowych twórców na konkurs. Była również czynna wystawa instrumentów muzycznych Podkarpackiego, której towarzyszył koncert ludowych instrumentalistów.

◆ Z wielkim aplauzem rzeszowska publiczność przyjęła występ lwowskiego Państwowego Teatru Młodego Widza im. Maksyma Gorkiego, który w ramach VIII Rzeszowskich Spotkań Teatralnych zaprezentował Aleksieja Arbuzowa „Miasto o świcie". Zespół ze Lwowa wystąpił również ze sztuką „Nielubiany wrona" Radija Pogodina w Teatrze Stalowej Woli. Równocześnie Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie zaproszony został na występy do Lwowa, dokąd uda się z początkiem września br.

W 200 rocznicę urodzin

W kręgu Napoleona

Juliusz Willaume

BADANIA historyczne wykazały, że dla niezwykle romantycznej natury Napoleona świat był sceną pełną niebezpiecznych, ale porywających przygód wojennych. Zaprzestanie przezeń podbojów mogło nastąpić ze wzrostem wieku, z chwilą uspokojenia się jego południowego temperamentu. Toteż *napoleońską politykę* — zdaniem P. Mureta — *wyjaśniają nie ostateczne cele, tylko stan zamiaru.* Nadspodziewanie łatwy pogrom Prus pod Jeną wciągnął Napoleona w dorzecze Wisły i Niemna. Zaszedłszy za daleko, utracił dotychczasową jasność umysłu, uwierzył w swą nieomylność i szczęście, popadł w kompleks Cezara. Po zużyciu w kampanii 1806/7 r. trzonu wielkiej armii zapełniał luki w jej szeregach kontyngentami państw lennych. Tak zrodziło się „Cesarstwo rekrutacyjne", noszące oficjalnie nazwę Wielkiego Cesarstwa.

Przeniesienie działań wojennych na nizinę nadwiślańską wywołało konieczność zapewnienia sobie współpracy Polaków, przede wszystkim w zakresie wyżywienia armii francuskiej. Tworzenie z nich oddziałów ochotniczych zmierzało raczej do wykorzystania ich jako atutu w rozgrywkach dyplomatycznych z zaborcami. Nie myślał więc Napoleon o odbudowie Rzeczypospolitej, choć zostawił Polaków pod urokiem rzuconej w Berlinie 19 XI 1806 zapowiedzi ogłoszenia Polski z chwilą wystawienia 40 000 żołnierzy polskich. Podczas posłuchania, udzielonego parę dni wcześniej płk Stanisławowi Fiszerowi, oświadczył, *że skoro zobaczy, iż nasz zapał nie jest w słowach, ale że się aktualnie uzbrajamy, independencją naszą ogłosi... Od nas samych, jak cesarz powiada, los wasz zależy* — pisał Fiszer do Dąbrowskiego.

W czasie rokowań tylżyckich sprawa objęcia ziem polskich po pruskim zaborcy nastręczała trudności. Car Aleksander nie chciał przyjąć tego „daru Danaów" z uwagi na pruskiego sojusznika. Napoleon odrzucił propozycje powołania swego brata Hieronima na tron warszawski, chcąc uniknąć zadrażnień granicznych, które mogłyby zatruć atmosferę świeżego sojuszu z Rosją. Zgodzono się więc na powołanie na księcia warszawskiego spokojnego i uległego króla saskiego, Fryderyka Augusta. Zresztą Napoleon, przeciwny odbudowie mocarstw narodowych, bodajże nigdy nie myślał poważnie o przywróceniu Polski. Według E. Driaulta *budził narodowości, ale zatrzymywał je w prowincjach Cesarstwa i w ten sposób pozbawiał zapału.*

Powiększenie Księstwa Warszawskiego po wojnie 1809 r. z Austrią o dalsze cztery departamenty galicyjskie zaniepokoiło cara. Dla wyparcia Napoleona znad Bugu postanowił poróżnić go z Polakami. Dlatego zażądał umowy o zaniechaniu odbudowy Polski. Podczas rokowań w tej sprawie odszkodowanie za odebrane szwagrowi carskiemu Księstwo Oldenburskie wskazał Księstwo Warszawskie i Gdańsk. Historyk sojuszu tylżyckiego, A. Vandal zauważył, że pod naciskiem cara Napoleon powstrzymywał dążenie niepodległościowe Polaków. Rzeczą zasadniczą było dlań utrzymanie Rosji w ramach systemu kontynentalnego. Nie mogąc cara nakłonić do stosowania blokady, w czasie publicznej audiencji w Tuileries, 15 VIII 1811, gwałtownie oświadczył ambasadorowi Kurakinowi, że chociaż nie dąży do odbudowy Polski, to nie dozwoli na zajęcie Księstwa, a sprawą polską posłuży się jako ewentualnym narzędziem walki. Zdaniem znawcy dziejów dyplomacji, Emila Bourgeois, Napoleon cenił Polaków jako dzielnych żołnierzy. Wiedział, że odbudową Polski wywołałby ustawiczne wojny z zaborcami. W planowanej na r. 1812 wojnie minister związków zagranicznych, Bassano, jako „prawdziwy cel" wskazywał *powrót Aleksandra do sojuszu... przeciw Anglii... Odbudowa Polski* (była) *jedną z możliwości rozstrzygnięcia sporu.* Licząc na pomoc Polaków w wojnie z caratem, Napoleon — według L. Madelina — *swoją serdeczną postawą, jak się zdawało, zachęcał do przebudzenia Polski. W rzeczywistości wobec zagadnienia polskiego zachował jedynie stanowisko życzliwego wyczekiwania.*

Ogłaszając „drugą wojnę polską" miano na celu wysunięcie zgodnego z prawem narodów jej powodu, jak wyjaśniał napoleoński publicysta, Montgaillard, w wydanej wówczas książce: „Druga wojna polska albo uwagi o pokoju powszechnym kontynentu i wolności mórz Europy". Wszakże przed swym powiernikiem, gen. Caulaincourtem, tak zwierzał się Napoleon: *Polacy mnie przyzywają, lecz nie myślę zupełnie o tej odbudowie, chociaż byłaby rzeczą polityczną, a nawet w interesie cywilizowanej Europy. Nie myślę o tym, gdyż to byłoby zbyt trudne przedsięwzięcie z uwagi na Austrię.* Na wyspie Świętej Heleny nie bez przesady mówił: *Byłbym szaleńcem, gdybym toczył wojnę r. 1812 za sprawę, którą mogłem osiągnąć jako wynik przyjacielskich rokowań.*

Latem 1812 r. w Dreźnie planował wprowadzić Polaków *w pewnego rodzaju upojenie,* spowodować wybuch powstania za Bugiem, nie wiążąc się otwarcie z polskim ruchem narodowowyzwoleńczym, ażeby nie zamykać drogi do rozmów z Aleksandrem. Dlatego skarcił swego ambasadora w Warszawie, Pradta, za łączenie Francji w odezwach Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego z polskim zrywem narodowym. Również nie dopuścił w Wilnie 11 lipca do odczytania adresu Konfederacji przez wysłaną doń deputację sejmową. Sam w odpowiedzi, uzgodnionej z rządem austriackim, zdając „świętą sprawę" na pomoc Opatrzności, mimochodem wspomniał o swym poparciu. Jak je pojmował, to wyjaśnił Bassano w komentarzu do cesarskiego przemówienia: *Niepodległość jest faktem... Naród jest niepodległy, gdy może sam istnieć... Jeżeli w ten sposób Polska przedstawi się cesarzowi, wówczas on uzna... słuszność faktu, który zadowoli jego uczucia i politykę.* Jak zaś świadkowie ocenili wymowę wileńskiej wypowiedzi Napoleona świadczy Caulaincourt: *Odpowiedź cesarza wyłączyła Galicję z granic Polski i była tak wymijająca, że zmroziła i nie zadowoliła najgorliwszych... Ludzie roztropni dostrzegli w niej niezdecydowanie i dowód, że cesarz jeszcze nie powziął postanowienia o Polsce i, że w okolicznościach, które wypadki wojenne mogły sprowadzić, ta odbudowa nie będąc warunkiem sine qua non, nie będzie przeszkodą do zawarcia pokoju.*

Twórca legendy napoleońskiej w dziejopisarstwie francuskim Adolf Thiers, w połowie XIX w. wysunął koncepcję, iż „półpatriotyzmowi" Polaków, którzy nie poparli Napoleona w jego zamiarze odbudowy Polski, odpowiadała jej połowiczna restauracja. Poglądy Thiersa zaciążyły na późniejszych wypowiedziach francuskiej historiografii. Nawet znawca epoki, G. Lefebvre, choć świetnie rozumiał, że cesarz oceniał narody ze stanowiska ich przydatności wzmocnienia swego samowładztwa i dążeń do założenia monarchii uniwersalnej, to jednak sprawę polską osądził na podstawie mylnych przesłanek. Twierdzi, że Napoleon *nigdy niczego nie obiecał Polakom.* Podobnie wypowiadają się dziś P. Renouvin, redaktor „Historii stosunków międzynarodowych" i A. Fugier na jej łamach omawiający czasy napoleońskie. W obrazie stosunków wewnętrznych Księstwa Warszawskiego Lefebvre, zawierzywszy A. Mansuy'emu, widzi same negatywy, nie dostrzega zapoczątkowanego procesu przeobrażeń strukturalnych społeczeństwa. Uważa wreszcie, że ludność Księstwa była niechętna, kler nawet wrogi dla Napoleona, tym tłumaczy bierność Polaków podczas wojny 1812 r. Sąd tendencyjny, potwierdzający „trafność" wyliczeń Thiersa, który liczbę polskich uczestników tej wojny ze 120 tysięcy zredukował do 15 000.

Na szczęście dla dobra nauki we współczesnej historiografii francuskiej, lepszą orientacją wyróżnia się profesor uniwersytetu w Adelajdzie (Australia), G. Rudé, który ideę przewodnią Księstwa Warszawskiego dostrzegł w dążeniach niepodległościowych. W stosunkach społecznych, mimo utrzymującej się przewagi szlachty, wydobył przebudzenie się mieszczaństwa a nawet działalność radykałów, którzy nawiązywali do ideologii Francuskiej Rewolucji 1789 r. oraz Konstytucji Majowej 1791 r. Z wprowadzonych w Księstwie reform napoleońskich skorzystała głównie średnia szlachta. Stanowiła ona trzon kontyngentów wojskowych, o które chodziło najbardziej Napoleonowi. Wprawdzie Rudé przeoczył rolę chłopów jako żołnierzy, ale w porównaniu z innymi historykami zachodnimi wykazał wyjątkowe rozeznanie w problematyce polskiej, połączone z bezinteresownym politycznie sądem, nie zamąconym ubocznymi względami na opinię tradycjonalistów.

Pod wpływem klęski poniesionej w wyprawie rosyjskiej pogląd napoleoński na sprawę polską zmienił się zasadniczo. Chociaż wiosną 1813 r. jeszcze zapewniał ministra Matuszewicza o swej trosce o los Polaków, to jednak nie chciał już słyszeć o przyjeździe deputacji Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego do Paryża. Kraj między Odrą i Łabą zamierzał oddać Fryderykowi Augustowi jako odszkodowanie za Księstwo Warszawskie, którego część północną z Warszawą przeznaczał Prusom, resztę Austrii i księciu oldenburskiemu. Uważał, że w ten sposób *wszystkie kwestie i wszystkie nadzieje dotyczące Polski zostałyby ukończone bez zwłoki.* Twierdze Gdańsk, Toruń i Zamość przeznaczył Prusom, ich stolicą miała stać się Warszawa lub Wrocław. Spodziewał się, że Hohenzollernowie znad Szprewy i Odry przeniesieni nad Wisłę, gdzie utrzymały się sympatie dla Francji, nie byliby dlań niebezpieczni. Wrogo natomiast odnosił się do polskich projektów Aleksandra, w ich zwalczaniu liczył na poparcie Austrii i Prus. Z wyjątkiem wojska polskiego, obarczał Polaków zarzutem przywiązania dla Rosji. Swe zainteresowanie sprawą polską zamykał asekurancką formułką: *Narody schodzą ze świata podobnie jak ludzie.*

W klasycznym już dziś portrecie Napoleona G. Lefebvre zaznaczył jako cechy stałe dobrze opanowany system nerwowy, błyskawiczną orientację oraz zdolność czasowo nie ograniczonej pracy umysłowej. Przyzwyczajony do rozkazywania cesarz nie znosił dyskusji, stąd reagował wybuchami wściekłości na

Dokończenie na str. 10

Książę bez pałasza

Ireneusz J. Kamiński

Ignacy Krasicki w Dubiecku

ULICAMI Przemyśla pędzi szalona szarża grenadierów, kopyta dorodnych rumaków iskrzą narodowej chwale, aż dziw bierze, że tumult taki za sprawą obywatelskiej wyobraźni. Już tylko 160 tys. zł dzieli konnych od celu, który w jednej z baszt Zamku na wysokim wzgórzu. „Somosierra" głośna w mieście, choć tylko malowana. Przez Wojciecha Kossaka na początku wieku naszego, po uprzedniej peregrynacji autora z wiernym Wiewiórskim do Hiszpanów, aby na miejscu w topografii się rozpatrzyć i uczciwie rzecz przedstawić. Po dziesięcioleciach doceniono wysiłek biegłego w uwiecznianiu koni malarza, obywatele przemyscy hurmem na hasło muzeum i „Życia Przemyskiego" odpowiedzieli i już na wykupienie 4 pokaźnych płócien 40 tys. zebrali. Bo dzieło własnością prywatną, w depozyt Muzeum Diecezjalnemu złożone jeszcze przez pierwszego kupca w 1914 r., kiedy to wielka wojna zagroziła narodowym pamiątkom.

Pamiątek wszelakich a pomników sporo zresztą w Ziemi Przemyskiej, która rozkwit swój na XVI wiek datuje. Tu w czasach odległych gnieździły się możne a często i niegłupie rody Herbutów, Orzechowskich, Wapowskich, Stadnickich, Drohojowskich, Krasickich, Fredrów, Mniszchów. Targali się za podgolone łby przy lada okazji, to prawda, ale w wielkiej potrzebie, kiedy Tatarzy chmarą na Rzeczpospolitą ciągnęli, razem stawali w obronie — pierś przy piersi, brzuch spasły przy brzuchu. A jak najazd obcy odparli, hajda sobie wzajem do gardzieli, bo przecież nudno na kresach bywało, a big-beatowców oczyszczających ze złych namiętności nie było. Każdy niemal dworek w fortalicję się zamieniał, a i świątynie do celów wojennych przysposabiano.

* * *

Ten bezstylowy budynek, który przed nami, gdzie Ośrodek Kolonijno-Wypoczynkowy przemyskich Zakładów Płyt Pilśniowych, także kiedyś był zamkiem i całe Dubiecko o tym wie i pamięta. Pamięć o dawnej świetności nie daje zresztą spać gospodarzom osady, która jeszcze w latach międzywojennych prawa miejskie — przyznane w 1407 r. Mikołajowi Kmicie — utraciła i w żaden sposób nie może ich odzyskać. Za mało ludzi tu mieszka, coś około 2 tysięcy, a do miana grodu brakuje co najmniej kilkuset. Podobno fortele staropolskie też zawodzą, albowiem mieszkańcy odległych przysiółków, które dla statystyki przyłączyć do Dubiecka chciano, wolą nadal wieśniaczyć, byle tylko podatków miejskich nie płacić. Honor z mamoną nie zawsze idą w parze.

Na tym dworze (czy zamku) tablica świeża informuje, że 3 lutego 1735 r. zobaczył ten świat Ignacy Krasicki, pierwszy poeta Oświecenia, biskup warmiński, człowiek światły i bywały, a nawet, w jakimś sensie, prekursor nowoczesnej myśli architektonicznej. Szczegóły później, bo oto zaczyna się uroczystość, która do Dubiecka ściągnęła całkiem liczną reprezentację władzy powiatowej, muzealnictwa i nauki, a także dwóch dziennikarzy (bezpośrednio nie mających nic wspólnego z prasą rzeszowską). Po trzech latach starań i przekonywania kogo trzeba, 19 czerwca mgr Adam Chudzikiewicz, przewodniczący Prezydium PRN w Przemyślu, otwiera Muzeum Ignacego Krasickiego. W sporym tłumie gości inicjatorzy pięknej sprawy: przedstawiciele przemyskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Wydziału Kultury dla Miasta i Powiatu Prezydium PRN w Przemyślu, Zakładów Płyt Pilśniowych, które podarowały na cele ekspozycyjne trzy sale swojego ośrodka wypoczynkowego, za co dyrektorowi Michałowi Kryczce dzięki, dyrektor Antoni Kunysz i Łucja Turczak z Muzeum Ziemi Przemyskiej, znanego z niezwykle wszechstronnej działalności, dyrektor Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie, Adam Mauersberger, który przekazał część „swoich" eksponatów do Dubiecka i czuwał nad opracowaniem scenariusza wystawy...

A potem (i przedtem) była sesja popularnonaukowa „Z przeszłości i tradycji kulturalnych Dubiecka", wypełniona referatami doc. dra Józefa T. Frazika, prof. dra M. Piszczakowskiego, dra A. Żygi, mgra S. Lwa i komunikatem mgr J. Mazur. Materiały z sesji zostaną opublikowane w wydawnictwie przemyskiego TPN, tam więc zainteresowanych należy odesłać.

* * *

Deszcz siąpi nieustannie i zieleń parku dubieckiego w całej swej jaskrawości. Kręte aleje nikną w wąwozach, wspinają się na wysoką skarpę i znów opadają w ciemnych otworach krzewów. Domki kempingowe przytulone do smukłych jodeł kanadyjskich, wiązów, jesionów, między którymi olbrzymie platany i tulipanowce. Wiele drzew roztrzaskanych przez pioruny, inne usychają, bo woda w zamkowych fosach opada, a rośliny od setek lat przyzwyczajone do mocnej wilgoci. Na ławeczce w pobliżu romantycznej wysepki na stawie troje nastolatków ryczy z radości, bo pasący się w pobliżu koń usiłuje zerwać krępujący go łańcuch. Niedaleko cichy San, kryjący w mętnym nurcie zabytkowe kafle, rzucone tam nie tak dawno z powodu swej nietypowości... Typowe baraki noclegowe błyszczą świeżością w sercu monumentalnego parku, a dusza Krasickiego jęczy w niebie (zapewne).

Po śmierci matki Krasicki odprzedał w 1771 r. swoją część majątku wraz z zamkiem bratu Antoniemu, lecz nie tracił kontaktu z Dubieckiem. Żona Antoniego, korzystając z listownych wskazówek poety, założyła tu rozległy park angielski, oparty na nieregularnym planie, modnym później w romantyzmie. Motywacje takiego układu znajdujemy w księdze I „Pana Podstolego": *Regularność każda... sprzeciwia się dziełom prostym przyrodzenia, oko zacieśnia, myślą nie daje rozpatrzeć. Postrzegli to Angielczycy, wycięli szpalery, powyrywali bukszpany i ligustry, znieśli kwatery: natychmiast posadzili sosny, świerki, dęby, jodły, lipy, zgoła wszystkiego rodzaju drzewa, a wszystkiego bez żadnej symetrii kunsztownej, tak jak przyrodzenie samo w lasach i krzewinach miejsce im oznacza. Zyskali nieskończenie na takowej odmianie: wszyscy ich już teraz naśladują i tym lepiej dla wszystkich.*

Niemal 200 lat później, podczas sympozjum „Złotego Grona" w Zielonej Górze w 1967 r., wybitny teoretyk sztuki nowoczesnej stwierdził, że czas już najwyższy powrócić do natury — rezygnując z ostrego kąta w architekturze i urbanistyce, jako zasady sztucznej, abstrakcyjnej, sprzecznej z biologicznym pejzażem ludzkiego bytowania.

* * *

300 metrów od parku osada Dubiecko. Niewielka gospoda ze znakomitym żurkiem z kiełbasą i jajami — za jedne 4,90 zł. Przy sąsiednim stoliku starszy mężczyzna domaga się od kawalerki kufla piwa, natrętny i obcy. No, załadują chłopa, sflekują na sieczkę. Ale nie, tylko krótkie zdanie: „my z panem nic nie mamy", po czym wstają i wychodzą. Przy innym stoliku facet w kombinezonie mówi do kelnerki: „Bułki świeże?! Bo jak kiepskie, zaraz oddam!" Nad bufetem wyraźny napis: „Kultura sanitarna mądrością narodu". Widać biskup Krasicki błogosławi władzy ludowej.

Przed knajpą duży dom handlowy, a na jego zapleczu kawiarnia, „czynna od 16 do 23". Przed wielkim kościołem gablota z repertuarem kina: „Ci wspaniali mężczyźni...", „Celuloza", „Major Dundee", „Drewniany różaniec".

* * *

Powrót do muzeum. Cisza, na piętrze trwa sesja. W gablotach pierwsze wydania dzieł Krasickiego, autografy, obrazy i sztychy, mapy i przedmioty z epoki. Na widocznym miejscu ogromny portret rodziny Krasickich: matka w otoczeniu synów i córek. Sztywni, ustawieni w odpowiedniej hierarchii, patrzą na widza z wielkiego dystansu. Wydekoltowane córy trzymają w dłoniach łodyżki kwiatów — jak średniowieczne Madonny.

Malarz wyeksponował bogactwo, dokładnie wymalował koronki pani matki, zaznaczył szczegóły stroju młodych dam i paniczów. Na stole atrybuty domu oświeconego: książki, zegar, listy. Także plan kościoła pod wezwaniem Judy Tadeusza, ufundowanego w Dubiecku. Rzucony w średniowieczu na kolana fundator świętego przybytku podnosi się z dziesięciolecia na dziesięciolecie, staje i przesłania swoją osobą darowiznę. Człowiek czuje się coraz pewniej na ziemi, racjonalnie porządkuje świat. ...Obraz namalował prawdopodobnie Mikołaj Treiński w 1783 r., a oddało w depozyt do Dubiecka Muzeum Diecezjalne w Przemyślu, skąd właśnie zaczęła atakować obywatelskie emocje szarża grenadierów, owa kossakowska „Somosierra", przez dziesięciolecia zapomniana w magazynach i przez przypadek wydobyta.

* * *

Muzeum Krasickiego jest skromne, wymaga uzupełnień, co na pewno nie nastąpi jutro. Na pewno też nie będzie cieszyło się takim zainteresowaniem, jak baszta zamkowa w Przemyślu, w której znajdzie kwaterę panorama Kossaka. Krasicki urodził się w złym momencie, żył w czasach zmierzchu Rzeczypospolitej i choć naprawiał ją piórem i słowem, za mało to, aby trafić na najwyższe miejsce mitologii narodowej. Dla ogółu jest przede wszystkim autorem „Monachomachii" i tylko tyle. Gdyby żył nieco później, mógłby dosiąść konia i poprowadzić do walki powstańcze oddziały... Gdyby zginął, żyłby do dziś tak intensywnie — jak Kościuszko i polscy grenadierzy Napoleona...

Niełatwo uzyskano te trzy salki w zamku dubieckim, poświęcone jego pamięci. Wystarczyło przecież rzucić hasło „Ar Kossak pozostał w Przemyślu", żeby obywatele miasta otwarli portfele. W istocie rzeczy nie chodzi im o obraz, wielu z ofiarodawców nie widziało go nigdy, wielu malarstwo w ogóle nie interesuje. Zresztą przemyska „Somosierra" to właściwie szkic do obrazu — jakiś taki... Na społeczną wyobraźnię podziałały dwa słowa: „Somosierra" czyli przewaga oręża polskiego w okresie niewoli narodowej, a więc nadzieja, oraz „Kossak" czyli mitotwórca albo inaczej ten, co pędzlem krzepił ducha narodu. Przywykliśmy rozpatrywać obrazy w kategoriach estetycznych, na widok płócien Matejki dziś wzruszamy ramionami. Ale jest to odruch samobójczy, bo naród nie może istnieć bez mitów i unaoczniających je symboli. Zresztą Załuski wiele w tej kwestii już powiedział...

Oczywiście, są mitologie twórcze i wsteczne. Historyczna Somosierra do tych ostatnich nie należy. Dobrze by jednak było, gdybyśmy równie często żywili się treścią mitologii mniej efektownych, lecz równie dla zdrowia narodowego potrzebnych. Takich, jaką reprezentuje Ignacy Krasicki, człowiek mądry, książę poetów — bez pałasza.

Portret Ignacego Krasickiego w muzeum poety w Dubiecku. XIX-wieczna kopia obrazu Per Krafftа, znajdującego się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Fot. Jan Wójtowicz

NA JAKI TEATR CZEKAMY?

Rozmowa przy jabłoni

NIE stało się to z ramienia sekcji, komisji, ani nawet redakcji. Wprawdzie w ten sposób ujęło się temu możliwość jakiejś egzekutywy, ale osiągnęło zysk w postaci tym swobodniejszej wymiany zdań, wśród których mają znaczenie również tzw. „prywatne" sądy i supozycje. Mianowicie grono ludzi, zainteresowanych sprawą lubelskiego teatru dramatycznego, uznało za stosowne odbyć rozmowę w przedmiocie swego zainteresowania, z jednej strony zamierzając wytworzenie obrazu środowiskowej na ten temat opinii, z drugiej — mając nadzieję na ewentualność pewnych praktycznych, wynikających stąd rozwiązań. Miejscem rozmowy stał się klub Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, a jej datą 30 maja 1969 r., dzień pełnego wiosennego rozkwitu, zaglądający wówczas kwitnącą gałęzią jabłoni w otwarte okno pokoju przy ulicy Granicznej 7. A oto tejże rozmowy mniej więcej dokładnie przytoczony przebieg.

Zygmunt Mikulski: Literaci lubelscy mogą się czuć zaszczyceni, że na ich zaproszenie przybyli przedstawiciele dwóch sąsiednich profesji, co faktowi temu oby nadało znaczenie precedensu w dziedzinie kontaktów środowisk twórczych, co również może być potraktowane jako pewna forma realizacji postulatu, wysuniętego na Wojewódzkim Sejmiku Kultury, w sprawie poszukiwania form i metod środowiskowej integracji. Wprawdzie niemal arkadyjska aura dzisiejszego dnia może nie sprzyjać intelektualnemu napięciu, tak potrzebnemu w dyskusji, ale też może się okazać pomocą dla zgodnego złożenia stanowisk w formę przez wszystkich akceptowanej konkluzji. Mamy rozmawiać o teatrze. Pierwsze w tej sprawie słowo jedynie ze względów formalnych mnie przypadło w udziale, ponieważ sztuką teatru w jej wymiarze scenicznym interesuję się raczej sporadycznie (**Głos z boku**, prawdopodobnie Jerzego Torończyka: „A szkoda"), więcej zainteresowania znajdując dla teatru od strony literackiego tekstu. Spełniwszy więc miły obowiązek w imieniu gospodarzy, tym ochotniej zapraszam do głosu kolegów kompetentnych, a nie wątpię, że rozmowa przyczyni się do precyzyjniejszego zdefiniowania wielu pojęć w atmosferze pochopności ulegających niekiedy pewnej deformacji, czy uproszczeniu. Wspomnę na koniec, że mamy sobie wzajemnie również co nieco do zarzucenia, tak więc rozmowa ma wszelkie szanse przyniesienia ogólnej satysfakcji.

Kazimierz Braun: Rozmowa o teatrze. Nie chcę temu zagadnieniu nadawać zbyt obszernego tła, ale muszę przypomnieć, że w przeciwieństwie do samego teatru dyskusja o nim ma nie za długą historię. To dopiero od inscenizacji szekspirowskiego „Juliusza Cezara" wystawionego w roku 1874 w teatrze meiningeńskim mówi się o teatrze jako o sztuce. Przedtem teatr był zjawiskiem bardzo powszechnym i bardzo popularnym, ale traktowanym na równi z cyrkiem wyłącznie jako rozrywka. Również słynne manifesty Craiga — jeden z roku 1905, drugi z roku 1911 — są przecież nie najstarszej daty. Moim zdaniem, te procesy, które doprowadziły do uznania teatru jako sztuki czasów najnowszych, jeszcze dziś nie są zakończone, a taki rodzaj, jak teatr artystyczny — śmiem twierdzić — do dziś jeszcze w świadomości społecznej nie został całkowicie ugruntowany.

Jeśli chodzi o teatr lubelski, jego działalność odbywa się na dwóch torach. Pierwszy to — tak nazwijmy — robienie sztuki teatru. Drugi to forma pewnej szlachetnej i dydaktycznej rozrywki, bądź komunikowanie literatury dramatycznej w formie scenicznej, a nie pisanej. Ta druga sprawa jest dla nas bardzo istotna, powiedziałbym nawet "boleśnie bliska". Staramy się trafić do maksymalnie szerokiego kręgu odbiorców dbając jednak, by dolna granica artystycznej wartości spektaklu nie opadała niżej od linii dopuszczalnej dla teatru o pewnych ambicjach. Stąd wielce cenimy sobie pomoc w postaci opiniowania naszych zamiarów, gdyż to pozwala nam nie tylko kształtować repertuar, ale znajdować najwłaściwszy model naszej artystycznej działalności. Istnieje potrzeba dyskusji na temat stylistyk, na temat doboru środków wyrazu i to w oparciu o konkretne dokonania, ponieważ teatr w przeciwieństwie do innych sztuk sprawdza się tylko doraźnie. Powtarzam: pracę naszą rozpinamy między dwoma biegunami: jeden to próba teatru artystycznego, drugi to poprzez sztukę teatralną ogólna działalność społeczno-kulturalna, zmierzająca do popularyzowania wśród publiczności najlepszych artystycznych gustów.

Maria Bechczyc-Rudnicka: Zgadzam się z tym widzeniem zadań naszego teatru i z tym ukierunkowaniem jego ambicji. Chciałabym jednak dodać, że właściwie nigdy jeszcze nie było takiej sposobności do robienia teatru artystycznego co dzisiaj. Rozglądnijmy się szerzej. Przecież na całym świecie i w kraju da się zauważyć tendencja, zgodnie z którą sztuka teatru występuje jako sztuka autonomiczna, odrębna nawet od dramaturgii. I ta tendencja jest bardzo silna.

Konrad Bielski: Ale w przełożeniu spraw, o których teraz mówimy na język praktyki trzeba powiedzieć o ograniczeniach, jakie stwarza brak drugiej sceny. Jedna scena chcąc nie chcąc znajduje się w niewygodzie swej trudnej do opanowania huśtawki między działaniem upowszechnieniowym a zamierzeniami poszukującymi. Moim zdaniem w ten sposób zwichnienia doznaje i jeden i drugi kierunek. Mówmy konkretnie. Norwid jest z pewnością ambicją repertuarową. Ale można go wystawić tylko na scenie, której jednym z założeń jest podawanie sztuki teatralnej w dawce strawnej dla widza jeszcze nie posiadającego tej najwyższej kultury teatralnej. Rezultat: na widowni znajduje się 30 osób. Nie przeczę, lubelski teatr miał dobre, czy nawet bardzo dobre przedstawienia, ale nie stały się one wystarczającym pomostem do lubelskiej publiczności. I nie załatwi sprawy optymistyczne stwierdzenie, że zdarzały się spektakle, dla których niepotrzebna była działalność „organizatora widowni", bo po prostu dobijano się o bilety. Moim zdaniem tu jest węzłowy problem i od jego rozwiązania zależy przyszłość lubelskiego teatru, niezależnie od słuszności stwierdzeń opisujących istniejący stan rzeczy.

Jerzy Torończyk: Nie przeczę, że bardzo miło jest mówić w atmosferze uniesionej ponad konkret rzeczywistości. Chcielibyśmy i my — ludzie teatru — znajdować się w tych warunkach. Każdego twórcę teatru interesuje przede wszystkim teatr artystyczny i to jest zrozumiałe. Ale proszę zauważyć, że nas „rozliczają" (takim słówkiem się to określa) nie jako instytucję artystyczną, ale jako przedsiębiorstwo. Mamy do wykonania plan spektakli, plan widzów, plan wpływów. I na swój własny użytek wprowadziliśmy rozróżnienie na sztuki artystyczne i „frekwencyjne". Na przykład „Ani z Zielonego Wzgórza" nie mogliśmy zdjąć z afisza, miała 150 przedstawień. To samo można powiedzieć o estradowej składance „Niech no tylko zakwitną jabłonie". W tej sytuacji mógłby ktoś powiedzieć, że właściwie o co chodzi, skoro te sztuki skutkują dodatnio na rzecz owych wymienionych trzech planów. Tak, ale po pierwsze: nie samymi takimi pozycjami zapełnimy nasz repertuar, a po drugie z powodu nich właśnie spotykamy się z zarzutami obniżenia lotu i ambicji artystycznych. Co — stwierdzić muszę od razu — nie jest atakiem wymierzonym w owe sztuki jako sztuki, ale w owe sztuki jako pozycje repertuarowe teatru dramatycznego. Tak więc nieustannie znajdujemy się pod za krótką kołdrą o dwóch połowach. Albo ta artystyczna, albo ta „frekwencyjna" nie spełnia swej funkcji. Rozmowy? Owszem, na każdą przychodzimy z największą gotowością. Ale grono miłośników nie wystarczy na zapełnienie widowni.

Nie w tym sensie, że pociechą nieszczęśliwych jest znalezienie towarzyszy niedoli dodam, że w identycznym położeniu znajduje się jeden z najlepszych w Polsce studencki teatr „Gong II". Aczkolwiek zauważmy, że ma on znacznie większe od naszych możliwości przyciągnięcia widza. I owszem, przyciąga, ale stale jeden i ten sam określony krąg odbiorców, a reszta studentów na przedstawienia swojego teatru nie chodzi. Mamy i my swoje nie najlepsze doświadczenia ze studentami. Urządzaliśmy dyskusje po spektaklach. Okazało się, że ta forma kontaktu z teatrem studentom nie odpowiada, jeśli już nie mamy sądzić, że nie posiadają uwagi dla problemów w teatrze poruszanych, czy umiejętności reagowania na artystyczne zjawiska dające się tam zauważyć. Również nie odczuwamy zainteresowania ze strony profesorów, nie ma ich zresztą nie tylko w teatrze, ale również na wystawie plastycznej, czy w filharmonii.

Głos: Czas, czas...

Jerzy Torończyk: Ale na „A to ci wesele" byli, więc brak czasu nie jest tu powodem wystarczającym. Powodem jest, wydaje się, brak snobizmu na teatr u lubelskiej publiczności, dlatego tak często nie znajdujemy adresata dla naszych wysiłków. Pamiętajmy, że jakość produktu artystycznego wytwarzanego przez nasz teatr zależy nie tylko od samego zespołu aktorskiego, czy warunków technicznych, ale od całego szeregu okoliczności składających się na atmosferę społeczno-kulturalną całego środowiska.

Mówi się, że zainteresowanie lubelskim teatrem osłabło z ubytkiem „gwiazd". Chciałbym podważyć fałszywe na ten temat mniemanie. Stanisław Mikulski, gdy był w Lublinie występował w ciągu sezonu zaledwie w dwóch sztukach, to samo Jan Machulski. A mimo to pozostałe siedem cieszyły się normalną frekwencją. Czyli nieprawdą jest, że pubiczność chodzi „na aktora". Szukamy powodów ciągle nie tam, gdzie rzeczywiście się znajdują. Niewykluczone, że kiedy odejdzie Gazdeczka, czy Smyk, będzie się słyszało o okresie prosperity związanym z ich bytnością w naszym mieście.

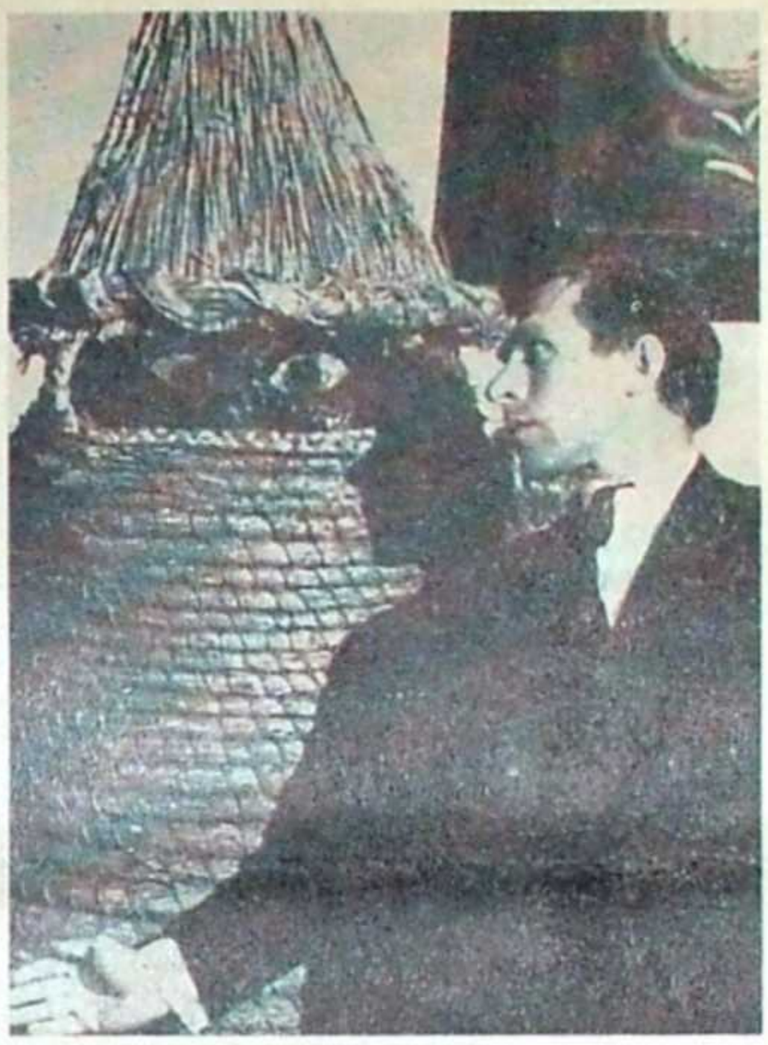

— Nieprawda jest, że publiczność chodzi „na aktora"...?

Fot. Danuta Rago

Aktorzy odchodzą. Normalnie: idą tam, gdzie znajdują lepsze warunki, nie tylko finansowe. Porobili kariery wszyscy, którzy odeszli. Dotyczy to nie samego Mikulskiego. Angażować nowych? A co jestem w stanie im oferować? Mieszkań nie, wysokiej pensji nie, to samo „nie", jeśli chodzi o możliwości dodatkowych zarobków, które w innych ośrodkach istnieją.

Jerzy Smyk: Chcemy jak najchętniej z naszą działalnością wychodzić poza bazę lubelską i czynimy to. A przedstawienie w warunkach terenowych zazwyczaj traci na wartości artystycznej zachowując jedynie „statystyczną". Władze nadrzędne rozliczając nas nie pytają o jakość spektakli, sprawa sprowadza się do prezentowania wskaźników. Tak więc lawirujemy między Scyllą Norwida a Charybdą „Klubu Kawalerów". Nie możemy sobie pozwolić na teatr wyłącznie artystyczny, bo pociągnęło by to za sobą straty półtora miliona złotych. Te wszystkie powody składają się na to i w tym główne zło — że lubelski teatr nie jest placówką zapewniającą aktorowi możliwość rozwoju.

Maria Bechczyc-Rudnicka: A ja chciałabym zapytać: kiedy te warunki były lepsze? Największy exodus aktorów był za Różyckiego, za Uklei, migracja w tym zawodzie jest zresztą zjawiskiem normalnym. Mimo to zespół lubelski był i jest świetny. Jeśli niepopularne jest stwierdzenie tego wprost, staram się to przemycać różnymi aluzjami i dygresjami w recenzjach. Ale zaufajmy konstruktywnym właściwościom entuzjazmu. Był czas, że zespół aktorski jeździł pod plandeką. Trochę tego zapału przydałoby się i teraz. Publiczność? Można i tu czegoś dopiąć. Dajmy się choćby zarazić przykładem Krystyny Zmijewskiej, za której sprawą we Wrocławiu powstało Towarzystwo Przyjaciół Teatru. Tylko nie może pierwszego planu starań zajmować pogoń za pieniądzem.

Nie zgadzam się na podział: artystyczny — upowszechnieniowy, jeśli te określenia mają występować na zasadzie wzajemnej prekluzji. Moim zdaniem powinien istnieć jeden sens programowy: teatr dobry. Zarówno w swej części przeznaczonej dla widza o wyrobionym smaku, jak i w części ów gust kształcącej.

Jerzy Torończyk: Nie przesadzajmy o tej pogoni. Owszem, aktor, jak każdy pracownik, chce zarobić, ale nie przybiera to rozmiarów wynaturzających istotę pracy artystycznej. Exemplum — teatr przy stolikach prowadzony bezinteresownie, czy raczej bezpieniężnie. Ale aktor chce mieć odbiorcę. A dodajmy, że próby nowej stylistyki teatru nie zawsze trafiają u nas na podatny grunt, bo publiczność lubelska przywykła do pewnych form tradycjonalnych i konwencjonalnych. Co robić, żeby wychować nowego widza? To jest dla nas pytanie numer jeden.

Kazimierz Braun: Co oczywiście nie oznacza, że walczymy z teatrem mieszczańskim, bo w warunkach PRL jest on w jakimś sensie teatrem ludowym. Ale obecna społeczno-artystyczna formuła jest dla nas samych często czymś krępującym. Dlatego poszukiwania, próby, zawsze będą kusiły nas możliwościami poszerzenia perspektywy. Zdradzę się tu ze swym marzeniem. Przy pomocy paru przyjaciół za tanie pieniądze mam zamiar zorganizować coś w rodzaju „teatru podziemnego". Z góry planuję to jako inicjatywę amatorską. Ale może ona podpowie i nam i naszym odbiorcom teren bliższego porozumienia. Chodzi o znalezienie możliwości zaprezentowania się z działaniem, które zaangażuje nasze idee i pomysły, a w odbiorze ewentualnie zaproponuje nowy rodzaj zainteresowania teatrem. Poszukujemy sposobu. Bo sposób prowadzenia teatru dla prasy, specjalnie zamiejscowej, nie należy ani do najtrudniejszych, ani rokujących możliwości rozwojowe.

Maria Bechczyc-Rudnicka: „Teatr podziemny"? Ciekawe, co za konspiracja. Czy można mimo to coś usłyszeć?

Kazimierz Braun: W oderwaniu od konkretnego materiału trudno mi dokładnie wyjaśnić swą myśl. Chodzi mi — z grubsza biorąc — o coś, co nazywamy poezją teatru. Właśnie nie o poezję „dodaną", przeniesioną na scenę jako realizacja literackiego tekstu, ale o poezję wyrażoną środkami wyłącznie scenicznymi. O — nazwijmy to tak — autotematyczność aktorstwa. Obszerniej nie mogę tego tłumaczyć, bo trwałoby to nieco dłużej i zaprowadziło naszą rozmowę w zbyt odległą dygresję. Zresztą już i tak chyba zanadto zdradziłem swój zamiar, co może nasunąć obawy o pomyślność jego realizacji.

Zbigniew Stepek. Wciąż zastanawiamy się w gruncie rzeczy nad jednym: nad przyciągnięciem widza. Pamiętamy jednak czasy, kiedy z tym kłopotów nie mieliśmy, mianowicie lata 1954—62.

Jerzy Torończyk: Nie było telewizji!

Zbigniew Stepek: I nie główny w tym powód. Przyznam, że sam nie znalazłbym rozwiązania, ale pod tym względem wydaje mi się obiecujące ryzyko eksperymentu. Po prostu coś trzeba zrobić. To jeszcze nie sprecyzowane „coś" może wykazać siłę atrakcyjną, czy zdolność katalizacyjną, określającą, a może nawet formującą kierunek zainteresowań lubelskiej publiczności. Wędka na wspomniany snobizm. Bo sam nowy budynek? Owszem. Odpowiedni warsztat pracy zespołowi aktorskiemu od dawna się należy, ale jeśli chodzi o publiczność, któż zaręczy, że jej zainteresowanie nie wyczerpie się na oglądnięciu gmachu, kurtyny i sceny, a więc bardzo szybko po oswojeniu się z tymi nowościami? Takie same wątpliwości mam pod adresem proponowanego tu Towarzystwa Przyjaciół Teatru.

Jerzy Torończyk: Chciałbym zagadnienie sprowadzić do właściwych rozmiarów. Sprawa nie stoi tak, że teatr upada, bo nie ma odbiorcy. W zeszłym sezonie ponad plan mieliśmy 21 przedstawień, 5000 widzów i 137 tysięcy złotych. Chodzi tylko o to, jaki to odbiorca i jakie sztuki ogląda. Jestem pewien, że na „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" nie damy ani jednego ulgowego biletu, a przez długi czas nie będziemy mogli tej sztuki zdjąć z afisza.

Głos: Więc jest źle, czy dobrze?

Jerzy Torończyk: Ludzie teatru mają swoje marzenia, które w zderzeniu z rzeczywistością nie mogą znaleźć realizacji. Jednym z nich jest właściwy skład widowni. Od dawna zależy nam np. na młodzieży akademickiej. Niestety, nie możemy w stosunku do niej znaleźć się w miłej sytuacji dostarczycieli przeżyć estetycznych. Nowy budynek. Pewnie, że to nie wszystko, ale jeśli rozgłośnia radiowa otrzymała pomieszczenie o wysokim standardzie, nie można powiedzieć, że nie wpłynęło to na jakość programu. Teatr musi być czymś w rodzaju — przepraszam za górne słowo — świątyni sztuki. W nieodpowiednich warunkach zatraca się atmosfera iluzji tak nieodzowna dla czystego odbioru przedstawienia.

Alojzy Leszek Gzella: Mnie się jednak wydaje, że teatr nasz jest za bardzo uczesany, zbyt układny i poprawny. Nie walczy, nie uderza i nie wstrząsa umysłem i sercem widza. Brak mu twórczej przekory, bez której nie rodzą się wielkie spektakle. Teatr zbyt pochopnie godzi na na pozycję, jaką mu wyznaczają przepisy finansowe — być przedsiębiorstwem. Po cóż więc walczyć, chcieć czegoś więcej, dążyć do nowych osiągnięć, skoro i tak to nie mieści się w planach finansowych, co gorsza — może je naruszyć. Jeśli teatr przyjmie taką postawę, to nie ma co liczyć na przyciągnięcie na swoje spektakle nowych ludzi, nowej inteligencji, której obecnie w Lublinie jest trzy razy tyle, ile było w latach bezpośrednio powojennych. Z tym faktem trzeba się liczyć. I to jest niezmiernie żywotna sprawa dla teatru, którą on sam, we własnym łonie czy gronie musi rozwiązać.

Zygmunt Mikulski: Proszę kolegów. Poruszyliśmy wiele spraw dotyczących naszej jedynej sceny dramatycznej i chyba dobrze się stało, że z inicjatywy paru zainteresowanych osób przeprowadziliśmy na jej temat sondaż środowiskowej opinii. Mam nadzieję, że pomieszczenie, w którym się obecnie znajdujemy niejednokrotnie jeszcze będzie miejscem podobnych rozmów o sprawach lubelskiej kultury. Obecnie jednak wypowiadamy już chyba ostatnie kwestie owej nie reżyserowanej przez nikogo dyskusji dell'arte, która oby była początkiem częstszych kontaktów naszych środowisk twórczych. Tak więc schodząc ze sceny w górze pozostawiamy kurtynę, która jak „brama nawciąż otwarta" niech anonsuje ciągłą gotowość przyjęcia nowych gości i nowych zagadnień. Zobowiązanie co do herbaty podejmujemy, nie możemy tylko tego uczynić odnośnie gałęzi kwitnącej jabłoni, która tak przydatnie przez otwarte okno towarzyszyła naszej rozmowie.

Dyskusję zrelacjonował
Zygmunt Mikulski

Na zachód od Zgorzelca (IV)

W gościnie u Nawków

Marek Adam Jaworski

TUTAJ wszyscy się znają. W małej salce teatralnej „Domowiny" zebrało się ponad 100 osób. Dziś właśnie premiera, a właściwie prapremiera, komedii Alberta Wawrika pt. „Żałbowarcy".

Z autorem spotkałem się kilka godzin temu w kawiarni. Był bardzo zdenerwowany. Dotychczas znano go jako tłumacza Szekspira, teraz miał wystąpić w nowej roli — komediopisarza.

Albert Wawrik pracuje w wydawnictwie „Domowina". Codziennie ślęczy nad manuskryptami, wygładza je, poprawia stylistycznie. A poza tym tłumaczy z angielskiego i francuskiego.

Zespół, który przygotował jego sztukę, jest zespołem amatorskim, działającym — rzecz wydała mi się interesująca — przy wydawnictwie. Poza występami w Budziszynie artyści często wyjeżdżają w teren: zdobyli sobie wszędzie wiernych przyjaciół żywo reagujących na to, co się dzieje na scenie. W najbliższym czasie w związku z 25-leciem Polski Ludowej, mają zamiar wystawić „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego. Bardzo żałuję, że nie będę mógł zobaczyć tej sztuki w wykonaniu Serbołużyczan, nie dowiem się, z jakim spotkała się ona przyjęciem. Mogę za to powiedzieć, że „Żałbowarcy" zostali powitani bardzo życzliwie!

Usiadłem obok Antona Nawki, tutejszego pisarza, świetnie znającego język polski, i jego małżonki, Polki, byłej działaczki Związku Polaków w Niemczech. Później niejedną godzinę spędziłem jeszcze w towarzystwie tych przemiłych ludzi, dzięki którym lepiej poznałem miejscową problematykę.

Ale oto już gasną światła, podnosi się kurtyna. Na scenie dekoracja — wiejskie podwórko. Rozmowa córki z matką. Później zjawia się ojciec, rubaszny chłop. W tej roli występuje Gerat Hendrich. Radzi sobie całkiem dobrze. Gorzej ja, ponieważ niewiele mogę zrozumieć; bez pomocy Antona Nawki nie bardzo bym wiedział, jaki jest sens sztuki.

A sztuka jest wymierzona przeciwko wierze w zabobony. Akcja toczy się wartko, zjawiają się nowe postacie, wśród nich magik Fuccicato, pozostający w zmowie z Lenką, córką gospodarzy i ich pomocnikiem, Pawołem.

Widownia bawi się znakomicie, gdy zapada kurtyna, długo nie milkną oklaski. Oczywiście po zakończeniu spektaklu wszyscy wywołują autora, który wzruszony kłania się obecnym.

Wejście do serbskiej kawiarni.

Jest godzina dwudziesta pierwsza. Państwo Nawkowie zapraszają mnie do kawiarni na kolację. Na stole zjawia się butelka bułgarskiego wina, co jest połączone z pewną ceremonią u nas raczej nie znaną. Oto kelnerka otwiera butelkę, nalewa odrobinę płynu do kieliszka i daje do spróbowania. Pan Nawka kiwa głową z aprobatą, możemy więc teraz wspólnie degustować. Nie ma żadnego skrępowania, chociaż ja wyciągam nieodłączny notes, ponieważ na własną pamięć zbytnio liczyć nie mogę.

Anton Nawka jest synem Michała Nawki, wybitnego działacza serbołużyckiego, który zmarł niedawno. Michał Nawka miał trzynaścioro dzieci, spośród których dziesięcioro żyje do dnia dzisiejszego. Dwóch synów zginęło w czasie drugiej wojny światowej.

Michał Nawka już w wieku 19 lat został nauczycielem. Pracował we wsi Radwor. Jego drugą pasją, obok pracy pedagogicznej, było pisarstwo. Pozostawił po sobie 15 pozycji, głównie prozatorskich. Ostatnio, przed pójściem na emeryturę, był docentem na Uniwersytecie im. Karola Marksa w Lipsku. Na tym samym uniwersytecie studiuje dzisiaj slawistykę jeden z synów Antona Nawki.

A Anton Nawka? Najpierw uczęszczał do szkoły na wsi, później do gimnazjum klasycznego w Budziszynie. W gimnazjum językiem wykładowym był język niemiecki, kto chciał, mógł raz w tygodniu uczyć się języka serbołużyckiego.

Po maturze Anton wyjechał do Berlina, tutaj skontaktował się z Janem Skalą, postępowym dziennikarzem i działaczem narodowym, redaktorem „Kulturwehr" — organu Związku Mniejszości Narodowej w Niemczech. Skala pomógł mu w uzyskaniu stypendium.

W Niemczech zaczynały się jednak najgorsze czasy. Doszedł do władzy Hitler, rozpoczęły się prześladowania serbołużyczan. Nawka wyjechał wówczas, korzystając z pomocy Polskiego Związku Zachodniego, do Krakowa, gdzie rozpoczął studia prawnicze. Później przeniósł się do Poznania na Akademię Handlową. W czasie wakacji pracował przy wykopaliskach w Biskupinie, gdzie — jak dziś wspomina — można było „dorobić".

— Właśnie przy końcu sierpnia 1939 r. wróciłem z Biskupina do Poznania. Sytuacja była już napięta, wojna wisiała na włosku. No i zaczęło się 1 września. Uciekałem, jak inni, na wschód i bałem się, aby nie wzięto mnie za... hitlerowskiego dywersanta, byłem przecież obywatelem niemieckim! Podczas jednej kontroli wyłuskano mnie. Ręczyła za mnie narzeczona, która miała polskie dokumenty, ale podejrzenia nie ustały. Zaprowadzono mnie w Puszczykowie do komendanta policji. Miałem zaświadczenie od red. Powickiego z Poznania stwierdzające, że jestem Łużyczaninem. Szczęśliwym trafem, policjant znał Powickiego i teraz zadał mi podchwytliwe pytanie: — Pan zna Powickiego. Co robi jego syn? — Który? — zapytałem, Powicki miał bowiem trzech synów. Wszystko więc skończyło się szczęśliwie.

Dalsze losy nie były jednak najweselsze. Nawka wrócił do Poznania. Do miasta wkroczyli Niemcy. Początkowo ukrywał się, później zgłosił się do komendantury niemieckiej. Otrzymał posadę w urzędzie finansowym.

— Przybiłem na drzwiach mieszkania tabliczkę z moją funkcją i dom mój stał się azylem dla wielu Polaków, którzy przechowywali u mnie różne rzeczy. Niestety, po czterech miesiącach zwolniono mnie z pracy. Przylgnąłem wówczas do ubezpieczalni. Jeździłem i namawiałem ludzi, aby się zapisywali, ubezpieczalnia była bowiem prywatnym przedsięwzięciem. Ale i tutaj zagrzałem nie za długo. Obawiałem się, że w ręce hitlerowców mogą wpaść dokumenty, dotyczące i mojej osoby. Na szczęście, jak się później okazało, w porę zdołano je spalić.

Pamiątkowe zdjęcie. Anton Nawka z małżonką. Z prawej strony córka, Milana, z lewej — syn Stefan, student slawistyki w Lipsku.

W połowie maja 1940 r. Nawka wyjechał na Śląsk, aby być bliżej swojej narzeczonej, która przebywała u rodziny w Beskidach. Przez pół roku pracował w papierni w Żywcu, później wzięto go do wojska. Front wschodni. Artyleria.

— Zostałem ranny. Wróciłem do Niemiec, ale po podleczeniu znów wysłano mnie na wschód. W 1945 r. w okolicach Kielc dostałem się do niewoli. Oficer radziecki pytał, czy wśród nas są Polacy, wcieleni do armii hitlerowskiej. Zgłosiłem się. Na początku sierpnia byłem już wolny. Wróciłem do Poznania i tu spotkałem starych znajomych. Dzięki Witoldowi Henzelowi dostałem pracę w PZZ, kontynuowałem też studia. Ostatecznie ukończyłem historię. W 1949 roku powróciłem na stałe do Budziszyna, tu początkowo pracowałem w szkolnictwie, uczyłem języka łużyckiego i historii, a następnie przez 10 lat adiustowałem materiały do dziennika „Nowa Doba". Teraz jestem, jak wy to w Polsce mówicie, wolnym strzelcem. A konkretnie żyję z pisarstwa i tłumaczeń.

Chyba żyje nie najgorzej. Następnego dnia odwiedziłem państwa Nawków w ich mieszkaniu. Ładna willa, zajmują w niej całe piętro. Właśnie przyjechał syn, który studiuje w Lipsku. Córka, już po maturze, na razie pracuje w drukarni, ale ma zamiar być bibliotekarką. Drugi syn jeszcze chodzi do szkoły, a druga córka studiuje w Katowicach w Akademii Sztuk Pięknych. Mam możność podziwiać jej zdjęcie, zamieszczone na okładce katowickiej „Panoramy".

— Bożena jest bardzo zadowolona z pobytu w Polsce. Przyjeżdża na wakacje do Budziszyna i lubi zmieniać kreacje. Ubiera się dość dziwnie, jak na tutejsze stosunki. Bywa, że jej koleżanki z Budziszyna nieco pokpiwają patrząc na jej ubiór, ale potem usiłują ją naśladować — śmieje się pani domu.

Pijemy dobrą kawę (słowo „dobrą" warto by podkreślić, gdyż takiej kawy jeszcze w NRD nie piłem) i mówimy o problemach wychowawczych. Ojciec — Serbołużyczanin, matka — Polka, a dzieci?

Sprawa jest na pewno skomplikowana. Weźmy pod uwagę chociażby języki. Ojciec mówi do dzieci po serbołużycku, matka — po polsku, a dzieci między sobą? Chyba najczęściej jednak po niemiecku, chociaż, gdy dochodzi do kłótni, wówczas w grę wchodzą trzy języki.

— Bożena — mówi Anton Nawka — urodziła się w Polsce. Gdy przyjechaliśmy tutaj, miała niecałe cztery lata i zupełnie nie znała niemieckiego. Słowa niemieckie „spolszczała". Zamiast np. „fligen" — mówiła „fligać", zamiast „laufen" — „laufać". To było bardzo zabawne. Później nauczyła się już biegle mówić po niemiecku i serbołużycku. A w domu jak pan widzi, prawdziwa wieża Babel, ale zawsze się dogadamy.

Oglądam bogatą bibliotekę. Wśród książek i prace mego rozmówcy. Własna proza oraz przekłady Balzaka, Londona, Merimée, Moliera, Arbuzowa („Irkucka historia"), a z polskich autorów — „Hrabina Cosel" Kraszewskiego i „Ostatnie salwy" Kotowicza.

— Przełożyłem też „Moralność pani Dulskiej" G. Zapolskiej. Wystawiliśmy ją kiedyś w naszym serbskim zespole.

Nie znam języka serbołużyckiego, nie czytałem żadnej książki, która wyszła spod pióra Antona Nawki, ale — jak wiem — okres wojny często się w nich przewija. Np. w powieści „Pod opaczną łopatą" oraz „Pod opacznym karabinem" przedstawił on łużyckie pokolenie studenckie, którego uświadomienie narodowe kształtowało się w proteście przeciwko reżimowi hitlerowskiemu. Ci młodzi ludzie szukali kontaktów z Polakami, a później, w czasie wojny, czynili wszystko, by nie przyczyniać się do sukcesów III Rzeszy. Sądzę, że osobiste przeżycia odegrały decydującą rolę przy tworzeniu tych książek.

Praca literacka jest tutaj szczególna. Książki nie ukazują się przecież w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, ale co najwyżej w tysiącach. Trudno więc mówić o większej popularności, o ile, oczywiście, nie ma się przekładów na język niemiecki i masowych wydań. Ale ta praca literacka musi dawać wiele szczególnego zadowolenia. Pozwala kultywować własny język, uczy patriotyzmu, stanowi realny dowód, że mimo wielu lat upartej germanizacji Serbołużyczanie potrafili zachować odrębność narodową.

Trzeba jeszcze raz w tym miejscu przyznać, że władze NRD umieją tę odrębność narodową uszanować, zapewniły Serbołużyczanom pełny rozkwit ich kultury. Z tego wszyscy doskonale zdają sobie sprawę.

Fragment Budziszyna. (Zdjęcia autora)

Józef Wiesław Zięba

Zdarzenie

Wyprężone ciało mocniej się wypręża
pod wiatrem ciepłym wygięta łodyga

Na ziemię spływa złota deszczu lawa
i bojaźń wielka w radości pęcznienia

Wśród traw i zboża przelewa się rzeka
do zjednoczenia z kłosem promienie
podkłada
lecz to nie kłosy lecz pokłon człowieka
na brzeg piaszczysty powraca jak fala

Tren o porzuconych polach

Boreasz coraz częściej zapomina o nas
i niecierpliwą lianą nóg naszych nie splata

Ostrość kamieni rozsiana po drogach
wiedzie w chłód łoża co z jaskiń powraca

Furta przed domem zastygła w zawiasach
otwiera przejście jedynie dla cienia

Już tylko oset i ogień porasta
ugory pokrzyw i zbędnego zielska

Gdzie świeżość ziemi nabrzmiała i pulchna
odkładana pługiem w wydłużonych bruzdach

Gdzie jędrność dla poślizgu żagla
i głębia toni by wchodził w nią szczupak

Rodowód

Wywiodłem ciebie przez wielesetlecia
poprzez barłogi siana poprzez brogi słomy
do dziada naszego który na nowinie
karczował lasy by ziemię oswoić

I czuł gdy w trudzie nad bruzdą przystawał
żeś jest nam dana na znój i urodzaj
i pieścił dłonią wyorane grudy
jak pieści się zwykle żółty owoc gruszy

On pierwszy pojął żeś nam dana ziemio
żeby się w tobie na wieki rozkruszyć

Lublin

Wiersze z mającego się ukazać wkrótce tomiku „Świadectwo istnienia".

Andrzej K. Waśkiewicz

lekcja

tak powtarzamy wszystkie gesty przeszłe
— słowa od krtani które idą biało
— krok w nich ucicha powoli i grząsko
— ciemno się jarzy patyna i śniedź

od rzeki słowo wiodę po imieniu
od źródła prowadzę dwa ptaki i drzewo
czas utoczono z popiołu i gipsu
włosy wpisano w linię lotu ptaka

a czym jest — pytasz — ta stara kobieta
mieląca słowo jak grudkę razowca
— jest pochyleniem w przestrzeń która
zawsze
mniejsza niż była — jeśli ją powtórzyć

dwa drzewa prowadzono — a nie zadrżał
żaden

upadli tylko we właściwym czasie

lekcja milczenia — dana nam przez słowo

Zielona Góra

Henryk Makarski

Retrospekcja I

powiedz mi proszę czym ci teraz słońce
czy myślą bardzo albo tylko ciałem
powiedz mi jeszcze czym ci będą noce
ukryte w ciche zapłakane dłonie

Platon rozpłynął się wrześniową nocą
i tylko w chwastach cebula przyklękła
czy kiedyś północ choćby nad płomieniem
zechce pożegnać nas muzyką swoją

Lublin

Andrzej Koss

propozycja

cóż mógłbym ci ofiarować
na pożegnanie

: sen kolorowo nakrapiany
zadumą

: zwierzątko hodowane w młodości
o bursztynowym nosku
i futerku
z rudych płomyków

: kamyczek żalu pięknie szlifowany
światłem

: glinianego kogucika świszczącego
stłumione południe
nad skwarnym rynkiem

: szeroką wstążkę milczenia z tłoczonymi
pretensjonalnie niezabudkami

: zmiętą bólem twarz ulicy poznańskiej
z której wytoczono szczęśliwe godziny

na koniec

: gałązkę głogu
zapalonego
miłością

Warszawa

WOLNA TRYBUNA

Szukamy nauczycieli

DOŚĆ dziwnie ustosunkowuje się redakcja „Kameny" do ludzi nadsyłających do niej korespondencję. Ludzie czytający to pismo nie zawsze chcą być tylko biernymi czytelnikami, biernymi, bezkrytycznymi odbiorcami cudzych myśli. Chcieliby również dzielić się swoimi myślami, swoimi uwagami. Chcieliby również zrozumieć to czego nie rozumieją — chcieliby się uczyć. Czynią to często z wielką pasją i szczerością. Myślę, że taka postawa czytelników powinna tylko cieszyć redakcję. Cieszyć, że praca redakcyjna trafia w żywy nurt życia, że burzy martwą, zastygłą w bezruchu zgniłą wodę, że dostarcza jej życiodajnego tlenu, że jest w końcu tym przysłowiowym kijem włożonym w mrowisko. To może tylko przyczynić się do tego, by pismo nabrało rumieńców życia, prężności i poczytności.

Nie znaczy to, by redakcja musiała wszystkie te nadsyłane myśli publikować, odpowiadać na nie oddzielnie. Ale chyba panowie redaktorzy i stali współpracownicy pisma nie uważają go za biurokratyczny stolik urzędowania, zza którego mogą podawać tylko to, co wyłącznie ich interesuje, zmuszając czytelników do patrzenia na świat tylko przez ich okulary.

Ludzie biorący do ręki „Kamenę" jakąś tam szkołę kończyli, ale przecież jeśli chodzi o poezję, to nauka w tej szkole ograniczała się i ogranicza do rozumienia klasycznych form poezji. Nic więc dziwnego, że dla większości tych ludzi wiele form poezji współczesnej jest rebusem, który rozumieją tylko nieliczni wtajemniczeni. Myślę jednak, że nie musi tak być, żeby ta poezja była tylko domeną jakiejś nielicznej kulturowej arystokracji. Właśnie ta poezja budzi wśród czytelników najwięcej kontrowersyjnych myśli. Szukają do niej klucza. Niestety, wtajemniczeni znawcy uważają poezję za tabu. Zazdrośnie strzegą jej przed profanami. Milczą, zachowując minę magów, celebrujących tajemnicze nabożeństwo.

Dlaczego żaden z magów nie raczy zapoznać się z myślami czytelników na te tematy, by w jakieś przystępnej formie pokazać im walory współczesnej twórczości na przykładzie jakiegoś konkretnego poety? Niechby pokazali ludziom, że twórczość poetycka to naprawdę sztuka, a nie mechaniczna składanka wyrazów.

Powiada się, że twórcy zazwyczaj wyprzedzają współczesne im społeczeństwo i dlatego ono nie rozumie ich twórczości. Do jej zrozumienia dorasta się z opóźnieniem. Przyjmijmy, że tak jest. Ale dlaczego nie czyni się nic, by temu społeczeństwu dopomóc w owym dorastaniu, dojrzewaniu? Czyżby twórcy i krytycy obawiali się spospolityzowania, demokratyzacji swych pozycji kapłanów-magów, których wypowiedzi społeczeństwo musi przyjmować na wiarę?

Wiadomo, że wśród ludzi jest wielu snobów, którzy udają, iż rozumieją to, czego właściwie zrozumieć nie są w stanie i boją się do tego przyznać, by nie zostać uznanymi za ingnorantów. Ludzie ci, udając znawców, wolą milczeć, by nie zdradzić się brakiem wiedzy w danej sprawie. Są jednak inni ludzie, którzy nie chcą i nie umieją udawać, oszukiwać innych i samych siebie. Nie znają się na współczesnej poezji, ale nie można ich uważać za wiecznych profanów sztuki. Oni mają prawo, a raczej w obecnej sytuacji sięgają po prawo stania się adeptami sztuki. Szukają nauczycieli. Dla „Kameny" byłby to tylko wielki splendor stać się jednym z takich nauczycieli.

Stanisław Puch

Od redakcji: Tekst drukujemy z pewnymi skrótami. Autor mierzy w „Kamenę". Moglibyśmy wskazać w naszym piśmie na pewne artykuły zajmujące się popularyzacją literatury współczesnej. Nie o to jednak idzie. Wydaje nam się bowiem, że problem jest szerszy, że istnieje w społeczeństwie zapotrzebowanie na rozumną i fachową popularyzację sztuki XX wieku, któremu to zapotrzebowaniu nie za często wychodzą naprzeciw kompetentne instytucje oraz czasopisma.

FOTOAMATORZY – PRZYPOMINAMY!

W trosce o wzbogacenie serwisu fotograficznego „Kamena" ogłosiła w poprzednim numerze nieustający konkurs dla fotoamatorów. Tematyka obojętna, chociaż szczególnie zależy nam na zdjęciach z czterech wschodnich województw. Zdjęcia należy nadsyłać co najmniej w formacie pocztówkowym i to na błyszczącym papierze.

Za najlepsze zdjęcie miesiąca będziemy płacić 100 zł niezależnie od normalnego honorarium.

Trudne lata III Rzeczypospolitej (3)

W CIENIU BANDY „JASTRZĘBIA"

Jerzy Dostatni

Włodawa dn. 29/VIII 46 r.

Do Szefa Pow. Urz. Bezp. Pub. we Włodawie

Ja Z... J... pracownik P.U.B.P we Włodawie melduję, że dnia 28/VII 46 r. wyjechałem w teren z pracownikikami w/w urzędu oraz WP z 49 p. p. na operację w gminie Włoskowola pow. Włodawa. W czasie operacji nasz oddział wykrył kryjówkę bandy W. i N., w której to znajdowało się 2 bandytów, a mianowicie Grzywaczewski Jan, mieszk. gm. Włoskowola wsi Pieszowola pow. Włodawa i Konfera Józef s. Michała, mieszk. wsi Jankowice gm. Kłapcice pow. Jarosław. W kryjówce odnaleziono przy bandytach R.K.M. sowiecki tankowy, P.P.S., 2 P.P.Sz., K.B.K., 9 sztuk granatów, 1 pistolet i około 400 szt. amunicji do K.B.K. Broń powyższą przejęło W.P., aresztowanych natomiast doprowadzono do P.U.B.P. we Włodawie.

Z... J...

PROTOKÓŁ REWIZJI

Lublin dnia 15.X.1946 r. L... K... pracownik Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie w obecności świadków 1) P... K..., 2) J... B... na zasadzie art. 85 K.W.P.K. dokonał w obecności ob. Kwiatkowskiego Piotra s. Franciszka zam. Włoskowola pow. Włodawa rewizji domowej — osobistej — pomieszczeń. Podczas rewizji ujawniono: 1) pistolet „Walter" nr 2077, 2) automat PPS nr 64 880, 3) RKM sowiecki tankowy nr 170 i 400 sztuk amunicji do tego erkaemu, 4) dwa automaty PPSz nr 9309, nr 2500 ,5) karabin niemiecki nr 3399, 6) karabin dziesięciostrzałowy bez kolby nr 12 974, 7) siedem granatów zaczepnych, dwa obronne i trzy zapalniki.

Żadnych pretensji na nieprawidłowe przeprowadzenie rewizji nie zgłaszam.

(—) Kwiatkowski Piotr

OTO pierwsze dokumenty z trzech grubych teczek, które później — w toku dalszych dochodzeń, na rozprawie w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Lublinie oraz w dalszych losach grupy ludzi — określane będą jako „Sprawa przeciwko Kwiatkowskiemu Piotrowi i innym".

Ostatni okres okupacji oraz pierwsze lata niepodległości nie były łatwe. Do walki z socjalistycznym kształtem Polski występowały coraz to nowe siły reakcyjnego podziemia. Była to walka bezpardonowa, na śmierć i życie. Strzelano do komunistów i bezpartyjnych, pracowników służby bezpieczeństwa, milicji i wojska, urzędników państwowych i prostych obywateli — do tych, którzy brali najbardziej czynny udział w budowaniu Polski Ludowej (pierwszy artykuł z tego cyklu pt. „Z kronik UB i MO" ukazał się w nr. 6 „Kameny" z dnia 16 III 1969 r.

Historia, z której dziś zdaję relację, nie należała do najbardziej krwawych w naszym województwie. Ale właśnie przez swoją typowość zasługuje na ujawnienie. Szefem PUBP we Włodawie był wówczas kpt. Mikołaj Oleksa, obecnie pułkownik MO. Przerzucamy pożółkłe już kartki z dni, w których włodawskiemu komendantowi w każdej chwili groziła nagła śmierć. Pochodzi on z pow. chełmskiego, za przynależność do KPP siedział w sanacyjnym więzieniu, w okresie okupacji był jednym z pierwszych organizatorów PPR we wschodniej części Lubelszczyzny.

Powiat włodawski był wtedy jednym z trudniejszych terenów. Działały tu bandy „Żelaznego" i „Jastrzębia". „Sprawa przeciwko Kwiatkowskiemu" to część działalności bandy „Jastrzębia" — Leona Taraszkiewicza, pochodzącego z Włodawy. Jego matka była Niemką i zapewne dlatego podpisał on Volkslistę, po czym służył w batalionie strażniczym, co oczywiście dawało konkretne korzyści materialne, a także przy każdej okazji pozwalało na znęcanie się nad Polakami. Jego brat, Edward, był w SS.

Już w czasie okupacji obu braciom zaczął się palić grunt pod nogami. Leon, mając widocznie bardzo nieczyste sumienie, po prostu nawiał i w jakiś sposób znalazł się w polsko-radzieckim oddziale partyzanckim pod dowództwem „Anatola", dokąd sprowadził brata po kapitulacji Niemiec i jego powrocie do kraju. Ba — był nawet bardzo bojowy i dostał jakieś odznaczenie.

Obawiając się jednak odpowiedzialności za grzechy okupacji (podpisanie Volkslisty, służba w SS i Wehrmachcie), z chwilą wyzwolenia bracia zaczęli się ukrywać, a następnie wstąpili do bandy reakcyjnego podziemia, które nie uznawało PKWN i nie chciało pogodzić się ze zmianami polityczno-społecznymi. W ten sposób powstała banda, która okresami liczyła stu ludzi dobrze uzbrojonych, ze względów konspiracyjnych podzielonych na mniejsze grupki. Jedną z nich dowodził właśnie Kwiatkowski.

W czasie aresztowania Piotra Kwiatkowskiego, który używał najczęściej psudonimu „Dąbek", znaleziono przy nim różne dokumenty, zapiski i listy. Oto jeden z nich, pisany na maszynie:

Wilkołaz 635

Do Obywatela „Dąbka"

Ob. Dąbek, dowiedziałem się dziś o śmiałej akcji, którą pan w dniu 31 grudnia 45 r. przeprowadził we wsi Kamień i odbił tam aresztowanych naszych ludzi. Składam panu oraz całej bojówce serdeczne gratulacje z powodu tego sukcesu. Szkoda jedynie, że my musieliśmy od was wtenczas odjechać i nie mogliśmy wam dopomóc.

Dnia 9.I. 1946. Cześć!

(—) Jastrząb (—)

Może warto, czytelniku, jeszcze raz przeczytać ten tekst. Bo już na szczeblu dowódców nie pisze się ani o partyzantce, ani o wojsku podziemnym czy oddziale, ale po prostu o bojówce, co przecież w odczuciu nas wszystkich ma całkiem jednoznaczny sens. No i raz „obywatel" — za chwilę „pan". Dodajmy, że wśród dokumentów był także „Wykaz placówki". Rzecz przecież bardzo tajna, powinna być zakonspirowana tak, aby nikt niepowołany — to znaczy władze bezpieczeństwa — nie mógł zindentyfikować członków. A tymczasem: pierwsza rubryka to pseudonimy, druga — imiona rodziców, trzecia — daty urodzenia, czwarta — przedwojenna służba wojskowa, wykaz posiadanej broni i amunicji. Nawet najbardziej tępy uczeń Sherloka Holmesa na podstawie tych danych potrafiłby zidentyfikować, kto z danej wsi jest kim.

Ale nie zabrakło i momentu pseudolirycznego. Znalazły się również teksty dwóch „piosenek partyzanckich", z których jedna tak się zaczynała:

Już się ogień dopala w biwaku
i po polu unoszą się mgły,
Z partyzantów ni śladu ni znaku
tylko trąbka w oddali gdzieś gra.

Hm, zauważyć trzeba tylko, że przez cały czas działania banda ani razu nie biwakowała przy ognisku i nawet nie posiadała trąbki, inaczej jej działalność skończyłaby się znacznie wcześniej. Tu trzeba jeszcze wyjaśnić, że Grzywaczewski, o którego aresztowaniu mówi pierwszy z przytoczonych dokumentów, w rzeczywistości miał na imię Piotr nie Jan — chodziło po prostu o wprowadzenie w błąd i uzyskanie na tej podstawie zwolnienia.

Monolog inżyniera

Dokończenie ze str. 1

tam sklep, a ja jechałem jeszcze kawałek dalej, do Blinowa. Edek często woził do Lublina jakieś pakunki, ja mu pomagałem. Potem okazało się, że to była „bibuła" dla partyzantów „Cienia", którzy często zbierali się u starych Gochów. Czy to znaczy, że brałem udział w konspiracji? Bo ja wiem? Woziłem od czasu do czasu gazetki, znałem niektórych ludzi... Byłem „sympatykiem" oddziału, chyba tak to można określić...

Od maja 1944 r. zajęcia w szkole odbywały się coraz rzadziej, a pod koniec miesiąca w ogóle zostały zawieszone. Pojechałem do domu, a w Lublinie znalazłem się znowu dopiero 2 sierpnia, już po wyzwoleniu. I właśnie tego dnia, na Krakowskim Przedmieściu, przypadkiem spotkałem Edka. Był przy broni i z białą-czerwoną opaską na ramieniu. „Co robisz? — pytam. — Co się z tobą działo, jak cię nie było?" „Co się działo, długo by opowiadać — on mi na to — a teraz pracuję w milicji i ciebie też mogę zaprotegować". Strasznie mi zaimponował i już ani mi w głowie była myśl o szkole, tylko chciałem zostać milicjantem.

Okazało się, że część partyzanckich oddziałów „Cienia" i „Przepiórki" pełniła obecnie służbę w milicji. Niektórzy pamiętali mnie ze sklepu rodziców Edka, więc zostałem przyjęty bez większych trudności. Komenda Miasta mieściła się wówczas w pałacyku na rogu Zielonej i Staszica, a ja otrzymałem przydział do IV Komisariatu, którego komendantem był „Grom". IV Komisariat zajmował pomieszczenia w kamienicy na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Wieniawskiej. Dostałem zaraz mundur, opaskę i pistolet. Gorzej było z wyżywieniem. W urządzonej na podwórzu kuchni gotowano tylko kaszę i smak tej kaszy — często bez omasty — będę pewnie pamiętał do końca życia. Ale kto by wtedy zważał na takie drobnostki jak jedzenie: byliśmy zapracowani od rana do wieczora, a ja jeszcze czułem się specjalnie wyróżniony, bo zostałem łącznikiem między Komendą Główną MO a Zarządem Politycznym Wojska Polskiego oraz Dowództwem Naczelnym WP, rezydującym w budynku przy Placu Litewskim. Kilka razy meldowałem się wtedy generałom Żymierskiemu i Spychalskiemu.

W Lublinie panował już spokój, ale plotki głosiły, że w lochach i piwnicach chowają się uzbrojeni hitlerowcy. Pewnego razu zostałem przydzielony do grupy milicjantów, którzy otrzymali rozkaz spenetrowania podziemi Lublina. Oczekiwałem niesamowitych przygód, więc zaopatrzyłem się w pokaźną ilość amunicji do swojej „tetetki", którą niedawno wymieniłem z pewnym radzieckim majorem za maleńką belgijską „szóstkę" i butelkę wina. Major był zakochany w łączniczce i „szóstki" potrzebował na prezent dla swej narzeczonej. Ale ja tu zboczyłem z tematu. Więc weszliśmy w lochy pod starą wieżą ciśnień przy Placu Wolności, a wyszliśmy w ruinach kina „Corso". Żadnych Niemców nie było, wypaćkaliśmy tylko mundury. W jednej piwnicy znaleźliśmy pięć butelek francuskiego szampana, ale jak przyszło do otwierania, nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać, w końcu wino „wykipiało", myśmy się położyli spać o suchym pysku i taki był koniec wielkiej wyprawy do lubelskich lochów.

We wrześniu 1944 r. przyszło mi pełnić naprawdę trudne i odpowiedzialne zadanie. Wchodziłem w skład eskorty, przeprowadzającej katów Majdanka z więzienia na salę rozpraw. Na ulicach, przed gmachem sądu, zgromadziły się wtedy tłumy ludzi, które chciały zlinczować więźniów. Ledwie ich obroniliśmy. Później woziliśmy już Niemców zakrytymi samochodami.

W listopadzie zaciągnąłem się do II Armii Wojska Polskiego. Znalazłem się w batalionie szkolnym, na Majdanku. W tym batalionie po raz pierwszy od czterech lat świętowaliśmy wigilię na wolnej ziemi. Ta wigilia tym bardziej wryła mi się w pamięć, że odwiedziła mnie matka, od której dowiedziałem się, że cała rodzina żyje.

W styczniu 1945 r. trafiłem do Jastkowa do „kompanii małoletnich", utworzonej przy szkole oficerskiej KBW. Szedł mi dopiero szesnasty rok życia, więc służbie frontowej nie podlegałem. W kompanii znajdowali się chłopcy w różnym wieku i o różnym stażu wojennym. Najmłodszy, Gąska, liczył dziesięć lat i przemaszerował kawał świata z wojskiem jako „syn pułku", najstarszy, siedemnastoletni Radomski, zdążył się już dosłużyć w Armii Radzieckiej stopnia sierżanta. Dowódcą kompanii był porucznik Henryk Cybulski, a jego zastępcą kobieta, chorąży Niusia Hercyk. Poza przedmiotami wojskowymi wykładano tutaj przedmioty ogólnokształcące w zakresie szkoły podstawowej i pierwszych klas gimnazjalnych.

Koniec wojny zastał nas już w Łodzi, gdzie „kompanię małoletnich" włączono do powstającego Korpusu Kadetów. Potem była oficerska szkoła KBW w Legnicy, „mała matura", a 24 maja 1948 r. zdałem egzamin końcowy z piątą lokatą i wyszedłem w świat z dyplomem podporucznika w kieszeni.

Prawdę mówiąc nie tyle wychodziłem, co przełaziłem na świat... przez mur. Przydziału do jednostek jeszcze nie było, siedziało się w koszarach i umierało z nudów. A każdy miał już w mieście przygruchaną dziewczynę. W sobotę, po promocji, odbywał się w Legnicy wielki bal. To my do dowódcy szkoły: „Obywatelu dowódco, tak i tak, prosimy o przepustkę do miasta". A on nam przepustki nie chciał wydać. Co mieliśmy robić? Jak się tylko ściemniło, hyc, hyc i już jesteśmy na murze okalającym szkołę. Tylko, że on nie był frajer, już sobie za murem stał i czekał na nas. „Szkołę oficerską skończyliście, ale jeszcze mojej władzy podlegacie — powiada. — A dopóki władzy podlegacie, macie się słuchać moich zarządzeń. A że zarządzeń nie wypełniliście, należy się wam kara. A karą będzie ostrzyżenie włosów do gołej skóry". I nie było rady. Stary zaprowadził nas do fryzjera i tak skończyły się marzenia o „oficerskim" balu.

Zostałem odkomenderowany na kurs zastępców dowódców szkół podoficerskich, a po jego ukończeniu otrzymałem przydział na Lubelszczyznę. W ten sposób po kilku latach wojskowej „tułaczki" wróciłem w rodzinne strony. Tutaj stanąłem na czele tzw. grupy operacyjnej, to znaczy plutonu żołnierzy, który penetrował teren w poszukiwaniu poniemieckiej broni, a zarazem prowadził wśród ludności wiejskiej akcję uświadamiającą. Niebezpieczne były jeszcze czasy, ale ciekawe. W terenie grasowały bandy WiN-u i NSZ-tu. Rozlokowaliśmy się raz, tuż przed świtem, na kwaterach w Turobinie, aż tu przybiega jakiś chłop i mówi: „Panie poruczniku, uny śpią u nas w stodole". „Kto taki?" „A te, co mówią, że są polskie wojsko, a nie są". Sam bał się z nami iść, tylko pokazał kierunek. Podchodzimy do zagrody — cisza. Szarówka się robi, widać, że wrota do stodoły przymknięte, z wnętrza — chrapanie. Skradamy się cichutko — nawet pies nie zaszczekał. Jak weszliśmy na podwórko, z okna chałupy wychyla się staruszka, patrzy na nas, kładzie palec na ustach, a potem pokazuje na palcach, ilu ich tam jest. Pierwszy wszedł kapral Zajchert. Myśleliśmy, że weźmiemy ich bez strzałów. Ale w stodole było ciemno, Zajchert zawadził nogą o jakąś bańkę, huk się zrobił, tamci od razu na nogi i do broni. I zaraz strzelanina, łomot, krzyk...! Dobrą chwilę trwało, zanim wyleźli na podwórko z łapami nad głową. Jeszcze dzisiaj widzę wyraźnie jednego, młody był, wystraszony, blady, syn młynarza z Turobina...

Potem WiN zemścił się. Mnie nie mogli dosięgnąć, ale na Piotra i Pa-

W bandyckiej grupie, o której mowa, znalazł się jeszcze inny człowiek. Oto jeden dokument w całości i wyjątki z drugiego:

Jarosław, dnia 16.IV.46 r.

Do WUBP w Rzeszowie, Wydział Personalny.

Raport

Zawiadamiamy, że dnia 11.IV.46 r. pracownik tutejszego Urzędu Kąfera Wojciech, który pełnił obowiązki strażnika przy tymczasowym areszcie Sądu Grodzkiego w Jarosławiu, oddalił się z gmachu Sądu Grodzkiego i dotychczas nie powrócił. Przyczyną dezercji jest to, że Kąfera wypuścił aresztowaną Szmuc Marię w niedzielę do kościoła, która nie powróciła do więzienia. Kąfera wiedząc, że wina ucieczki Smuc Marii jest wyłącznie jego, zdezerterował zabierając ze sobą zaświadczenie służbowe nr 6223/1 oraz pistolet. Listy gończe za w/w rozesłane.

Szef PUBP Jarosław ppor. K... Ł...

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA PODEJRZANEGO

Ja do służby w PUBP w Jarosławiu wstąpiłem w dniu 15 lipca 1945 r.... Wypuściłem z aresztu do kościoła jedną folksdojczkę, która już nie powróciła... Jan Dowojda zaproponował mi, czy ja bym nie poszedł do partyzantki, która to w naszych terenach jest dobrze rozwinięta, na co ja się zgodziłem... W tem oddziale pod dowództwem „Dąbka" byłem przez półtora miesiąca, to jest do czasu aresztowania mnie w dniu 29 lipca 1946...

Zapewne nikt nigdy nie stwierdzi, w ilu i w jakich napadach brała udział bandycka grupa „Dąbka". W ówczesnych warunkach i prowadzenie dochodzenia, i zbieranie dowodów było niezwykle utrudnione. Wielu pracowników służb śledczych nie posiadało jeszcze zbyt wysokich kwalifikacji. Wielu świadków odwoływało w całości lub części swoje pierwotne zeznania, może dlatego, że wiedzieli, iż na wolności pozostali jeszcze inni członkowie bandy i obawiali się krwawej z ich strony zemsty. W każdym razie Wojskowy Sąd Rejonowy uznał Piotra Kwiatkowskiego winnym m.in. udziału w zbrojnym napadzie na pociąg.

Był to pociąg osobowy na linii Łuków—Lublin. Wczesnym rankiem 7 czerwca 1946 r. wjechał on na przystanek osobowy Gródek. Jeszcze się nie zatrzymał, gdy koło lokomotywy zjawiło się dwóch żołnierzy z karabinami. Za chwilę z rosnącego obok stacji żyta wyłoniło się ok. 40 ludzi w polskich i radzieckich mundurach wojskowych oraz po cywilnemu, niemal wszyscy posiadali automaty. Krzycząc nakazali wszystkim podróżnym opuścić wagony. Pociągiem jechało także kilkunastu żołnierzy radzieckich, którzy nie chcieli się poddać. Wywiązała się gwałtowna strzelanina, w wyniku której zostało zabitych 9 żołnierzy radzieckich, w tym st. lejtnant, oraz 3 pracowników UB, a także 2 osoby ranne. Z ambulansu pocztowego zrabowano wtedy 360 510 zł (w dawnej walucie).

Ten sam Kwiatkowski, w nomenklaturze WiN „komendant placówki we Włoskowoli", brał udział w napadzie na Kodeniec, tym razem z większą grupą, którą dowodził osobiście „Jastrząb". Wczesnym popołudniem 28 stycznia 1946 r. przed urzędem gminnym zjawiło się kilku ludzi w mundurach wojskowych i po sterroryzowaniu najpierw sekretarza gminy, a następnie przypadkowo przybyłego poborcy podatkowego, rozbili kasę i zabrali ok. 50 tys. zł, zostawiając pokwitowanie podpisane „Cześć K. O. Grot". Pseudonimu „Grot" używał brat „Jastrzębia". Zresztą „Dąbek" zawsze współdziałał z „Grotem". W końcu czerwca tego samego roku banda „Dąbka" zamierzała dokonać napadu na grupę gospodarzy, jadących furmankami z Pieszowoli do Włoskowoli. Zasadzka była dobrze przygotowana, jednak „Grot" nieco wcześniej i na własną rękę obrabował jadących, dla kompanów „Dąbka" nic już nie zostało.

Ale najbardziej wstrząsającym dokumentem były dla mnie dwie gęsto zapisane maszyną kartki, z których tu można przytoczyć tylko bardzo nieznaczną część:

Wykaz napadów rabunkowych na Zarządy Gminne, Spółdzielnie, Posterunki MO i inne instytucje państwowe oraz rozbrojenie, zamordowanie lub uprowadzenie milicjantów na terenie powiatu Włodawa:

15 maja 45 r. banda w sile ok. 60 ludzi dokonała napadu na posterunek MO w Woli Uhruskiej, rabując broń milicjantom, koce, umundurowanie i żywność oraz wszystkie papiery. W tym samym dniu ta sama banda zrabowała aparat telefoniczny w urzędzie pocztowym w Woli Uhruskiej oraz pieniądze z kasy Gospodarstwa Państwowego Sobibór.

10.V.45 r. banda w sile 10 ludzi napadła na posterunek MO w Opolu, gdzie zrabowała broń milicjantom, umundurowanie oraz dokonała zabójstwa matki milicjanta Kulka Piotra — Anny...

1.XI.45 r. w czasie boju z bandą na terenie wsi Hołoszów gm. Sławatycze zostało zabitych 6 milicjantów z Kom. Pow. MO Włodawa i 5 funkcjonariuszy PUBP Włodawa...

Dnia 5 II 46 r. około 50 bandytów dokonało napadu na miasto Parczew i zarazem posterunek MO. W czasie boju został zabity milicjant Rydzewski Wacław z tamtejszego posterunku oraz 4 z Ochrony Miejskiej. Banda na posterunek nie wtargnęła...

Dnia 27.VII.46 r. banda licząca ok. 40 ludzi napadła i ostrzelała autobus kursujący Lublin—Włodawa na 16 km od Włodawy. Wskutek huraganowych strzałów 11 pasażerów zostało rannych. Po zatrzymaniu się samochodu banda przystąpiła do rabunku, zabierając pasażerom wartościowsze rzeczy...

5.IX.46 r. około 100 bandytów dokonało napadu rabunkowego na spółdzielnię w Hańsku, zabierając towary na łączną sumę 10 000 zł. Dochodzenie w toku.

Przeraźliwa w swojej wymowie jest ta sucha statystyka. W ciągu 16 miesięcy — 76 napadów. Morderstwa, rabunki, uprowadzanie ludzi. Sporządzający wykaz kapral Z. W. nie zawsze zwracał uwagę na chronologię, nie zawsze znał nazwiska zabitych — ale przecież musiał mieć stalowe nerwy i jakieś głębokie przekonanie, aby w tym piekle bratobójczej walki wytrzymać i pracować...

A jakie to było piekło, niech uzupełnią to szczegóły dwóch spraw.

18 maja 1946 r. o godz. 5 rano do sołtysa gromady Włoskowola przyszło dwóch ludzi, pracowników PUBP z Włodawy, których tenże poczęstował śniadaniem, a w między czasie zawiadomił „Dąbka" o ich przybyciu. Po pewnym czasie jeden z pracowników PUBP zauważył przez okno dwóch ludzi w polskich mundurach wojskowych. Ale natychmiast zorientował się, w czym rzecz i krzyknął: Oj, banda nas zaskakuje! Wyrwał z kabury pistolet, wyskoczył przez okno i ostrzeliwując się zamierzał uciec, ale seria z automatu ciężko go raniła. Upadł tuż za oknem i resztką świadomości przeturlał się pod ścianę obory, aby być mniej widoczny.

— Jeden już leży, bić po oknach i ścianach! — wołał przywódca napastników, wzywając zarazem drugiego funkcjonariusza PUBP do poddania się.

Jednak daremnie. Bandyci zaczęli więc rzucać do chałupy granaty, a gdy to nie pomogło — podpalili ją. Drugi pracownik wyskoczył także przez okno i usiłował dobiec do lasu, ale 100 m przed celem został zabity. W tym czasie ogień objął najpierw całe gospodarstwo sołtysa, a potem strawił 16 dalszych gospodarstw. W płomieniach spalił się pierwszy pracownik PUBP — niespełna 20-letni Józef Łysek.

Druga sprawa rozegrała się trzy dni wcześniej, 15 maja, ale do akt ze względu na skomplikowane dochodzenia trafiła później. Otóż w tym dniu starym „Chevroletem" wracali z Parczewa do Włodawy sekretarz KP PPR, Józef Kiełb, starosta włodawski, Ludwik Rycerski i przewodniczący PRN, Czesław Głowacki. W Parczewie sekretarz był na zebraniach kilku organizacji partyjnych, starosta wizytował młyny, przewodniczący uczestniczył w odprawie wójtów. Wyjechali ok. godz. 10. Koło wsi Włoskowola samochód został zatrzymany przez 10 ludzi w mundurach polskich i jednego w mundurze oficera Armii Czerwonej, którzy nadjechali „Willysem" z przeciwnej strony. Po wylegitymowaniu jadących bandyci wprowadzili ich najpierw do jakieś chałupy, a potem starostę i sekretarza uprowadzili do lasu, zwalniając pozostałych. W lesie oczekiwano na wyższego dowódcę, „Roga", który polecił zwolnić starostę, natomiast sekretarza Kiełbia zastrzelono, a zwłoki jego odnalezione po pewnym czasie, były zmasakrowane, a ręce zamordowanego skrępowane drutem kolczastym.

I tak rejestr zbrodni można by ciągnąć w nieskończoność. W związku z narastającą w tym okresie działalnością band posterunki MO i jednostki UB wzmacniano liczbowo, zaopatrywano je w coraz lepsze środki walki. Podejmowano akcje wypadowe i całe operacje, w których brały także udział jednostki wojskowe. Pojedynczo lub grupami bandyci zaczęli wpadać w ręce władz. Coraz większa liczba lojalnych obywateli, mając dosyć bratobójczej walki, współdziałała w akcjach przeciwko bandom. Zaczęły się mnożyć procesy — zgodnie z ówczesnymi przepisami — przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Lublinie.

Na rozprawie w dniach 15—16 kwietnia 1947 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie uniewinnił Piotra Kwiatkowskiego („Dąbek" — „Babinicz") od szeregu zarzutów aktów oskarżenia jak i Wojciecha Kąferę. Tam, gdzie nie było wystarczających w pełni dowodów, lub gdzie tylko istniały wątpliwości — sąd stanął po stronie oskarżonych. Tak np. Kwiatkowskiego zwolniono od odpowiedzialności za 6 zarzutów. Jednak i reszta wystarczyła aby obu skazać na karę śmierci, którą jednak na mocy amnestii z 22 lutego 1947 r. (wydanej z okazji otwarcia obrad Sejmu Ustawodawczego) zamieniono na wyroki po 15 lat więzienia z zaliczeniem aresztu tymczasowego. Na podstawie tej samej ustawy amnestyjnej darowano całkowicie kary 6 innym oskarżonym — Janowi K., Marianowi S., Józefowi K., Bronisławie G., Kazimierzowi W. oraz Władysławowi Grzywaczewskiemu.

Na tym jednak nie zakończyła się „Sprawa Piotra Kwiatkowskiego i innych". Do sądu, prokuratury, władz więziennych i także do Prezydenta RP zaczęły płynąć podania o ułaskawienie czy darowanie reszty kary. Wnosili je więźniowie, ich rodziny, a nawet znajomi. W wypadku Kwiatkowskiego i Kąfery jest takich dokumentów kilkadziesiąt. Jedne pisane są nieudolnie, z błędami ortograficznymi, inne pięknie na maszynie przy widocznej pomocy znakomitych adwokatów. Na marginesach mnożą się numery, adnotacje, uwagi, decyzje. Oto w dosłownym brzmieniu tekst jednej z tych próśb:

„Psześwietny Sądzie My Rodzice naszego Syna Wojciecha Kąfera odsiadującego karę więzienia w Sztumie ktury miał 19 lat a jusz siedzi 7my rok prosimy upszejmie Wysokiego Sądu o rospatrzenie tej sprawy i umożenie reszty kary poniewasz jest chory na płuca. młody był poszedł nielegalną drogą on sam teraz żałuje że jakby był na wolności toby wiedział jak ma żyć... pszeciesz mamy jeszcze 7dmiu Synów i dwie Curki i wszyscy pracują uczciwie dla dobra Ojczyzny on tylko zbłądził bo posłuchał złych koleguw pszeto bardzo prosimy Wysokiego Sądu o umożenie mu reszty kary.

Z poważaniem
Kąfera Michał i Katarzyna

Nie wiem, czy i w jakim stopniu rodzice Wojciecha Kąfery zdawali sobie sprawę z przestępstw, popełnionych przez jego syna, czy wiedzieli o nich przed ich popełnieniem — chociaż z akt sprawy wiadomo, że po dezercji ukrywał się także u nich. Czyżby żona i inni członkowie rodziny Piotra Kwiatkowskiego nie zdawali sobie sprawy, co on sam robi, z czego żyje, dlaczego nosi mundur i broń?

Stare to już dzieje i nie warto odnawiać zabliźnionych ran. W każdym razie jedno jest pewne: za zbrodnie, za napady i rabunki, zwłaszcza popełnione w tym ciężkim dla Polski okresie, trzeba było ponieść karę. Winni musieli odpokutować, ich kompani widzieć, jak kończy się bandycka działalność.

Stąd też podania nie od razu mogły odnieść skutek. Ale mijały lata i na umęczoną polską ziemię powracał spokój, naród nie bez trudu ale z sukcesami budował socjalizm, rosło znaczenie Polski w świecie, bogactwo jej narodu...

W dniu 21 września 1954 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie na posiedzeniu niejawnym postanowił warunkowo zwolnić Wojciecha Kąferę z odbycia reszty kary. Przypomnijmy: zamiast wyroku śmierci, zamienionego na 15 lat więzienia — ostatecznie 8 lat i 2 miesiące.

18 maja 1956 r. już Sąd Wojewódzki w Lublinie Wydział IVa Karny na podstawie amnestii z 27 kwietnia 1956 r. Piotrowi Kwiatkowskiemu zmniejszył karę do 10 lat więzienia. I znów przypomnijmy pierwotny wyrok — kara śmierci, zamieniona na 15 lat więzienia.

Nawet w takich wypadkach Polska Ludowa była wspaniałomyślna.

Fot. Danuta B. Łomaczewska

---

wła, 26 czerwca 1948 r., przyszli ich ludzie z PAS-u do Blinowa i spalili ojcu chałupę. PAS to było Pogotowie Akcji Specjalnej, wykonywali w WiN-ie wyroki śmierci i różne inne brzydkie roboty, a nosili na piersiach... ryngrafy z Matką Boską Częstochowską. Takie to były czasy...

Ja się wkrótce znalazłem znowu z dala od domu. Ale zawodowa służba wojskowa nie odpowiadała mi. W 1950 r. przeszedłem do rezerwy i zamieszkałem z rodzicami, już w Lublinie, w małym domku na Dziesiątej.

I teraz — co robić? Mam 21 lat z kawałkiem, znam się wprawdzie na wojsku, ale z rzeczy cywilnych całe wykształcenie to „mała matura". Akurat powstawała WSK w Świdniku. Zgłosiłem się, zapisali na liście jako piątego pracownika. „Zawód?" — pyta dyrektor inwestycji, inżynier Biały. „Były wojskowy". „Dobra — on na to — zostaniecie inspektorem od płotu". Tak sobie zażartował, ale miał sporo racji, bo powierzono mi komendę nad strażą przemysłową, a że pierwszą inwestycją w WSK było ogrodzenie terenu, więc po nocach pilnowaliśmy tych kołków, cośmy je w dzień pomagali robotnikom wbijać.

Długo tak nie trwało, budowa zaczęła się rozkręcać na całego, przychodziło coraz więcej ludzi. Z Komitetu Wojewódzkiego przyszedł na kierownika kadr, tow. Palonka, i zrobił mnie swoim zastępcą. Przyjmowaliśmy wtedy m. in. do pracy pierwszego inżyniera do produkcji, Adama Hadrawę, obecnie dyrektora szkoły przyzakładowej.

W 1951 r. wyjechałem do Katowic na kurs gospodarki cieplnej paliwem w przemyśle i ukończyłem go z wynikiem dobrym. Jak wróciłem do zakładu, miałem już te przynajmniej minimalne kwalifikacje, a że zaczęto właśnie uruchamiać pierwszą kotłownię, dostałem zajęcie w dziale głównego mechanika. Ale taki kurs człowieka nie urządza. Niby ludzie mnie szanują, wybrali na drugiego sekretarza komitetu zakładowego partii, to przecież zawodowo kim ja jestem? Robotnikiem po kursie? Przychodzi coraz więcej inżynierów, techników, dostają odpowiedzialne stanowiska, a ja już zaczynam przechodzić do historii, jako „bohater pierwszych, trudnych dni". Dostałem wprawdzie etat referenta paszportyzacji maszyn w dziale głównego mechanika, ale sam sobie zdawałem sprawę, że to miejsce dla technika i że prędzej czy później trzeba się będzie z nim pożegnać.

Pracuje u nas stary frezer Sienicki. Przyglądał mi się przez pewien czas, patrzył jak się miotam na swoim stanowisku, aż kiedyś przyszedł i mówi: „Panie Jasiu, chodź pan lepiej do mnie, nauczę pana dobrej roboty, na frezarce, przynajmniej będzie jakiś fach w ręku". I nauczył. Do 1953 r. byłem frezerem.

W zakładzie organizowano wieczorowe Technikum Mechaniczne. Dużo ludzi się zgłosiło, poszedłem i ja. Coś tam jeszcze pamiętałem ze starej lubelskiej szkoły, trochę materiału powtórzyłem, tak że przyjęto mnie od razu do trzeciej klasy. W czasie nauki w technikum zdążyłem się ożenić i dochować dwojga dzieci. Trudno pogodzić robotę z nauką, życiem rodzinnym i urządzaniem domu, więc jak skończyłem technikum pomyślałem: „Teraz już mi chyba edukacji wystarczy, czas trochę pożyć i pomieszkać". Stanowisko dali niezłe, z maszyny przeszedłem na technologa w wydziale narzędziowym, potem zostałem konstruktorem oprzyrządowania. Przez trzy następne lata pracowałem „przy desce". Robota dobra i ciekawa.

Raptem okazało się, że to już dziesięć lat minęło jak pracuję w zakładzie. Żeby zwierzchnicy nie przypomnieli, nawet bym sobie tego nie uświadomił. Tak jest: żona, dzieci przychodzą na świat, myśli się o pralce, o lodówce, zaczyna się na własnym kawałku ziemi sadzić drzewka, ściąga materiały pod budowę domu — a lata lecą. I nagle okazuje się, że naokoło ciebie stoją w pracowni sami inżynierowie, a niektórzy koledzy z Technikum kończą WSI. Niby nikt nic nie mówi, ale człowiek zaczyna być traktowany jakby trochę „przez nogę". Na przykład taki Sobiesiak: najpierw pracował u mnie w grupie, mnie podlegał, a teraz akurat na odwrót. Myślę: mogą inni, mogę i ja WSI zrobić. Dlaczego mam być gorszy? Założyłem się z kierownikiem biura, że zdam na pierwszy rok. O dwieście złotych podwyżki...

Zacząłem wkuwać matematykę i fizykę gdzie się dało. Potem oczywiście — egzamin. Zdawało nas stu sześćdziesięciu, a miejsc było trzydzieści pięć, więc po egzaminie nie pojechałem nawet do Lublina, żeby zobaczyć, czy jestem na liście przyjętych. A byłem. Dopiero koledzy mi powiedzieli. To ja zaraz do kierownika: „Słowo się rzekło — gdzie moja podwyżka?" On się śmieje na to: „Poczekaj, studentem dla mnie jeszcze nie jesteś, pogadamy po pierwszym semestrze".

Zły byłem, ale zacząłem chodzić na zajęcia. Człowiek odzwyczaił się od systematycznej nauki, co jednym uchem wpadło, drugim wyleciało. W zimowej sesji — pierwszy egzamin u inż. Jaśkiewicza. Metalurgia. Zdawaliśmy w piątkę i cała piątka „oblała". Wtedy — zawzięliśmy się. Kuliśmy po nocach, w zakładzie — przyznaję — pracownicy byli z nas majowi. Ale poprawkowy zdałem na piątkę. Kierownik słowa dotrzymał — podwyżkę wysupłał.

Później było łatwiej. Jakoś się wciągnąłem. Przez cztery lata rozkład zajęć miałem następujący: z pracy wychodziłem o trzynastej, szedłem do stołówki na obiad, potem na chwilę wpadałem do rodziców — żona z dziećmi mieszkała już w Kazimierzówce — o piętnastej czterdzieści jechałem pociągiem do Lublina, odbywałem ćwiczenia i wykłady, a o dwudziestej trzydzieści wracałem „chełmskim" do Świdnika. W domu, w Kazimierzówce, byłem na dwudziestą pierwszą. Światła jeszcze nie podciągnęliśmy, więc trzeba się było uczyć przy lampie naftowej. O jedenastej wieczorem kładłem się spać. A o piątej rano pobudka i do pracy.

Na trzecim roku studiów ciężko zachorowałem, miałem kilkumiesięczną przerwę w nauce. Jak wróciłem na WSI nie wiedziałem za co się chwytać, myślałem: stracę ten rok, trzeba brać urlop dziekański. I wtedy inż. Jaśkiewicz przyszedł do mnie i powiedział: „ja zaległe ćwiczenia będę z panem odrabiał. Widzę, że się pan męczy, człowiek człowiekowi musi pomagać".

Tak. Na co dzień może tego nie widać wyraźnie, ale gdy przyjdzie potrzeba, ludzie potrafią okazać pomoc. Dzięki inż. Jaśkiewiczowi nie zawaliłem roku. Dyplom inżyniera wręczył mi rektor Podkowa 13 czerwca 1964 roku.

Tak, życie jak dotąd było ciekawe. Jest rodzina, jest dom, jest zawód. Wszystko się dobrze ułożyło. Chyba dobrze...

Józef H. Wiśniewski

Rysowałem cię od śladów

Rysowałem cię od śladów
w zaspach moich snów
abyś była mi
skłamana
abym cierpiał
i odchodził
abym wracał
byś o moich stóp
bolała
bym nagradzał
i pogardzał
bym potykał się
i padał
— ciernia wyrwać
nie potrafił

Łódź

Zygmunt Kozicki

Wiesława

pod moim niebem
noc rozszarpują kruki
orły wznoszą do zenitu
złotą hostię słońca
a sowy swe oczy
sycą jego blaskiem
ale to ja
zapalam wschody
i gaszę wieczory
a twoim imieniem
naznaczam cztery strony świata

Toruń

Teatr ze Skopje

Maria Bechczyc-Rudnicka

V. Iljoski — „Uciekinierka". Scena z aktu II.

NROBIŁO się to w dzisiejszym tempie międzynarodowym, które w sprawach wymiany kulturalnej potrafi być szybsze od międzywojewódzkiego. W zeszłym roku przyjechał do Lublina z przyjacielską wizytą dyrektor Teatru Dramatycznego w Skopje, Riste Stefanovski, z naszej strony wybrali się do stolicy Macedonii Jerzy Torończyk i Kazimierz Braun, którzy byli pomocni w zakresie scenografii i reżyserii przy realizacji „Niemców" Kruczkowskiego na skopijskiej scenie. Rezultatem tych kontaktów stał się przyjazd Teatru Dramatycznego ze Skopje do Lublina i vice versa — wyjazd lubelskiego Teatru im. J. Osterwy do Skopje.

Przybycie sympatycznych gości z daleka było dla Lublina nie lada sensacją. Już sam widok masywnego beżowego autokaru, zaparkowanego rano i wieczorem obok pomnika Kochanowskiego, budził nobliwą ciekawość: jaki to też będzie ten teatr jugosłowiański, drugi z kolei, który nas odwiedza — przed sześciu laty widzieliśmy u siebie znakomity, z Nowego Sadu.

O Skopje było powszechnie wiadomo, że po trzęsieniu ziemi w dniu 26 lipca 1963 r. odbudowa miasta musiała startować niemal z totalnego rumowiska. A i dzieje narodu macedońskiego tak się snuły fatalnie, że dopiero po drugiej wojnie światowej zaczął on w Socjalistycznej Republice Macedonii, powstałej jako część składowa FRJ, odrabiać zaległości kulturowe.

Tedy przeciętny teatroman lubelski, poniekąd glebae adscriptus, który z racji indywidualnych niedoborów finansowych do Skopje nie dotarł, ani nie bywał na festiwalach w Dubrowniku czy Puli, mógł przecie żywić obawy, iż wypadnie mu oceniać spektakle skopijskich przyjaciół według taryfy ulgowej...

Rzeczywistość zadała całkowicie kłam sceptykom. Okazuje się bowiem, że mimo niedawnej klęski żywiołowej życie teatralne Skopje jest bardzo prężne. W odbudowanym pięknie mieście czynne są już trzy teatry i właśnie Teatr Dramatyczny, przedmiot obecnego naszego zainteresowania, odpowiada najzupełniej wymaganiom, jakie stawiamy scenie współczesnej — pod względem repertuaru oraz inscenizacji.

Na skutek gnębienia języka macedońskiego przez najeźdźców w różnych momentach dziejowych scenopisarstwo tego dzielnego narodu bałkańskiego jest jeszcze całkiem młode. Dopiero w roku 1900 powstała jego najstarsza sztuka — „Krwawe gody" Vojdana Czernodrinskiego. Obiektywnie mówiąc, trzeba wręcz stwierdzić, że dramaturgia macedońska jest właściwie in statu nascendi. Atoli istnieje obecnie plejada młodych pisarzy, którzy zaopatrują sceny macedońskie w sztuki oryginalne swego pióra, w opracowania rodzimego folkloru, bądź w nowoczesne adaptacje lub przynajmniej przekłady dzieł serbskich czy innych, a zatem teatr macedoński w zasadzie nie cierpi na głód repertuarowy. Z obcych frapujących pozycji wystawiano w Skopje m. in. „Trojanki" Sartre'a, „Romulusa" Dürrenmatta, Dostojewskiego „Zbrodnię i karę", ze sztuk polskich — „Kondukt" Drozdowskiego, coś niecoś Różewicza, wspomnianych już „Niemców", „Tango" etc.

Import do Lublina został trafnie dobrany: jedna sztuka wesoła, folklorystyczna, że tak powiem — na nutę ludową, druga — nastrojona na wysoką nutę satyryczną. Jedna rdzennie macedońska, druga zapożyczona z klasyki serbskiej. Obydwie tak zrobione, że nie musi się być superpoliglotą, by w oparciu o samą mimikę i gest aktorski zrozumieć z prezentowanej treści to i owo ponad gołą fabułę, podaną w programie.

Na pierwszy ogień poszła „Uciekinierka" („Biegalka") Vasila Iljoskiego, w reżyserii Todorki Kondovy-Zafirovskiej, z oprawą sceniczną Dimitara Kondovskiego (dekoracje) i Rady Petrovej (kostiumy). Iljoski, członek macedońskiej Akademii Nauk i Sztuk, jest autorem kilku utworów scenicznych, cieszących się wzięciem w teatrach macedońskich. „Biegalka", napisana bodaj 40 lat temu, zyskała trwałą popularność swym niefrasobliwym humorem i zręcznym, nie narzucającym się natrętnie, przeciwstawieniem prostej ludowej zacności tępemu zacietrzewieniu sobków i dusigroszy.

Temat rzeczy jest, powiedziałabym, uniwersalny w czasie i przestrzeni. Młodziutka, hoża dziewczyna (Lencze) kocha się na śmierć w dorodnym, dzielnym chłopaku (rzemieślnik Boszko). ALIŚCI (tam do licha, czy Waldorff ma monopol na to słówko!), aliści, powtarzam, tata owej Lencze, bogaty lichwiarz Adżi Trajko, chce ją wydać za byle niedorajdę (w danym wypadku Dose), aby tylko był bogaty — już, albo dziedzicząc po bogatym rodzicu (a Dose jest właśnie synem zamożnego kupca, Stojki). Po stronie macedońskich Romea i Julii wypowiadają się: matka Lencze, Velika, i matka Boszka, Evra, najaktywniej zaś — młoda służąca, Donka. W obozie lichwiarza Adżi Trajki szczególną energię przejawia wredna intrygantka Mirsa, siostra Trajki. Oczywiście cała wieś żywo kibicuje konfliktowi, który poprzez pogodne raczej śpiewy (wybór piosenek ludowych — Zivko Firfov) zmierza ku spełnieniu marzeń zakochanej pary.

Dekorację przydano scenicznemu dzianiu się — zupełnie stosowną: bajecznie kolorową, kwiatek przy kwiatku (lecz występujące na zmianę — raz ten, raz drugi, w zależności od przestawienia światła), potrzebna do akcji brama, balkon, fontanna. W II akcie, w pokoju gościnnym domu wiejskiego lichwiarza — zwykłe, tzw. wiedeńskie krzesła, ale i malowana skrzynia ludowa i stylizacja wnętrza za pomocą tiulowych, mieszczańsko-nuworyszowskich firanek ze wstążkami, rozpiętych na całej tylnej ścianie jako tło akcji.

Dużo w tym spektaklu rysów swojskich zapewne dla Macedończyka, dla nas atrakcyjnie egzotycznych. Adżi Trajko — gra go znakomity aktor, Krum Stojanov — przychodząc do domu zdejmuje u progu buty. Na kaftanie ma masywny łańcuszek, z kieszeni kaftana wystaje mu chełpliwie wyeksponowna chustka do nosa. Czubek głowy wieńczy oczywiście fez. Czy to bawiąc rozmową potrzebnego gościa, czy spierając się z rodziną — Adżi Trajko przebiera ziarenka różańca, odgrywającego niekiedy rolę „sejsmografa". Charakterystyczny jest sposób siedzenia mężczyzn na krześle — z podwiniętą pod siebie nogą, jakby siedzieli na podłodze.

Reżyserka opracowała szereg świetnych sytuacji (Trajko — między żoną (Mara Isaja) a siostrą (Angelina Ivanovska), namawiającymi go do przeciwstawnych decyzji; scena zrozpaczonej Lencze (Snieżana Mihajlovicz) i przebiegłej Donki (Milica Stojanova), sługi-powiernicy rodem z komedii molierowskiej; scena obrzędowego lamentu dziewcząt z orszaku weselnego; scena z osiołkiem — „Iajkonikiem" itd., itd.

Grane to jest wszystko przez bardzo dobrych aktorów, rola w rolę. I według jakiejś całkiem nowej, skutecznej recepty, która każe wydobywać komizm z samej esencji folkloru obyczajowego wyostrzając go stylizacją na groteskę.

Oprócz już wymienionych artystów grali pierwszorzędnie: amanta — Steva Spasovski, jego matkę — Ivanka Zendelska, pechowego konkurenta — Aco Jovanovski, jego ojca — Blagoj Crvenkov, inne dramatis personae — Kiro Kortoszev, Slavczo Tasevski, Zivko Jovanovski, Toma Vidov, Sziszman Angelovski, Kirczo Bożinovski, Samoil Dukovski.

Zupełnie ostentacyjnie nowoczesna jest inscenizacja komedii Branislava Nuśicia „Nieboszczyk" („Pokojnik"), adaptowanej oczywiście z zamiarem „na przekór" tekstowi klasycznemu. Przede wszystkim trzeba pochwalić całkiem awangardową scenografię, w której wprawdzie

Dokończenie na str. 11

Apel Matki Courage

Helena Pilipiuk

MATKA Courage i jej dzieci" jest obok „Opery za trzy grosze" najczęściej grywaną sztuką Brechta. Okazuje się, że ten antywojenny dramat sprzed trzydziestu lat nie stracił aktualności. I dziś nie brakuje spadkobierców fanatyzmu Hitlera. Słyszymy o strzałach w Wietnamie, Nigerii, na Bliskim Wschodzie. Nikt nie zaręczy, że jutro nie mogą one zabrzmieć jeszcze bliżej nas.

„Matka Courage", która miała ostrzec Niemców przed złudnym mirażem wzbogacenia się na wojnie — w inscenizacjach współczesnych urasta do ram oskarżenia militaryzmu nie tylko niemieckiego.

Na tle polskich inscenizacji „Matki Courage" (m. in. krakowska interpretacja Lidii Zamkow, warszawska Ireny Eichlerówny) nowatorstwem artystycznym i intelektualnym wyróżnia się ostatnie przedstawienie w Białymstoku*.

Matka Courage — interpretowana na ogół jako ciągnąca z wojny zyski hiena — na scenie białostockiej stała się szarą uczestniczką wydarzeń wojennych, która po prostu chce jakoś przetrwać tę zawieruchę wraz z trojgiem swych dzieci. Ta humanistyczna koncepcja postaci tytułowej odbiega nie tylko od większości przedstawień teatralnych, ale jest sprzeczna z założeniem dramaturga.

W zamierzeniu Brechta Matka Courage miała być postacią negatywną — bezduszną, chciwą markietanką i na domiar złego tragicznie głupią; okrutne doświadczenia wojenne niczego jej nie nauczyły — mimo ruiny materialnej i utraty trojga dzieci Anna Fierling z uporem maniaka woła w finale do przechodzących żołnierzy: „Hola, zabierzcie mnie ze sobą!"

Natomiast kreowana przez Karinę Waśkiewicz białostocka Matka Courage to postać bardzo ludzka, darząca szczerą miłością swe wszystkie dzieci, jej kolejne nieszczęścia budzą u widza współczucie. To prawda, że w chwili okazania trupa jej syna Matka w obawie prześladowań nie przyznaje się do swego dziecka, ale po wyjściu żołnierzy schyli się po pozostawioną materię, która okrywała zwłoki jej syna — i z czułością podniesie ją do swych ust. Ta dramatyczna scena miłości macierzyńskiej kończy akt pierwszy. Kurtyna zasłania raczej zbolałą Niobe niż targującą się o okup za syna handlarkę.

Do przywracania ludzkich wymiarów brechtowskiej hienie wojennej nie zawsze wystarczał tekst niemieckiego dramaturga. Reżyser Mirosław Wawrzyniak, śmiało gospodarzący w dialogach Brechta — zmienił zakończenie dramatu. Oprócz serca przywrócił Matce Courage także rozsądek. Ciągnąca samotnie swój zrujnowany wóz Anna Fierling rezygnuje w zakończeniu z dalszej wędrówki obłędnym — jak karuzela sceny obrotowej — szlakiem wojny. Zwraca się do widowni z dramatycznym okrzykiem: ‚Ludzie!!!".

Wykrzyknik ten pełni w przedstawieniu podwójną rolę. Jest odwołaniem się do uczuć publiczności w sprawie indywidualnej tragedii Anny Fierling, a przede wszystkim jest apelem szarego człowieka, uwikłanego w antyhumanistyczne tryby porządków społecznych. Tryby niszczące pragnienie wolności, niosące nieszczęścia i śmierć. Tę humanistyczną pointę uzasadniają wydarzenia rozgrywane przez aktorów na pierwszym planie estrady oraz mikro-scenki w wykonaniu mimi-aktorów.

Jak to wygląda w realizacji teatralnej?

Wiemy, że Brecht miał zwyczaj poprzedzania poszczególnych scen swych dramatów opisami faktów politycznych lub historycznych. Również „Matka Courage" jest zaopatrzona w owe przerywniki informacyjno-publicystyczne na temat wojny trzydziestoletniej. Z reguły wstawki te traktuje się jako integralną część sztuki — przed poszczególnymi scenami pojawiają się one w formie napisów.

W białostockiej inscenizacji „Matki Courage", pomyślanej jako uogólniający dramat ponadczasowy — realia historyczne i topograficzne wojny trzydziestoletniej straciły swą funkcję. Natomiast potrzebne były środki, pomagające wysnuć z losu markietanki uogólnienia filozoficzne. Mirosław Wawrzyniak dokonał swoistego przekładu myśli na żywe obrazy, które poprzedzają poszczególne sceny „Matki Courage". Te mikro-scenki, rodzaj prologów plastycznych przed scenami dramatycznymi, wykonują mali chłopcy w krótkich spodenkach.

Z finałowym wykrzyknikiem Matki Courage: „Ludzie!" koresponduje pospektaklowa scena tratowania pozostałych po kinder-wojsku papierowych hełmów. Aktorzy, kłaniając się publiczności, depczą leżące na podłodze czapeczki z gazet. Całą scenę — podobnie jak na początku przedstawienia — zalewa ostre jasne światło.

Ważną funkcję artystyczną pełni w przedstawieniu scenografia Zbigniewa Więckowskiego. Kostiumy i rekwizyty są uniwersalnie proste. Umowne mundury żołnierzy obu wrogich stron różnią się tylko żółtym lub czerwonym kolorem plakietek. Oba „nieprzyjacielskie" kolory zostały połączone w jednakowych żółto-czerwonych strojach dzieci.

Sceny dramatu rozgrywają się na tle białej ściany, którą w miarę zacieśniania się „militarnego łańcucha" spowija coraz gęstszy mrok. Uogólniającą wymowę „Matki Courage" świetnie ilustruje półkolisty firmament, spowijający scenę. Nieskazitelnie biały na początku, pokrywa się z każdą nową sceną gęstniejącymi plamami i ryzami. Nasycony niezrozumiałą niesamowitością horyzont zawisa nad jednoznacznym na pozór losem Anny Fierling.

Charakteryzując ambitne przedstawienie Mirosława Wawrzyniaka trzeba przyznać niemałą część wawrzynu również wykonawcom „Matki Courage", którzy na ogół z powodzeniem utrzymywali się w konwencji gry dyskretnej lecz swobodnej. Tylko w niektórych momentach reżyser zdecydował się na brutalne, naturalistyczne akcenty, np. w scenie „miłosnej" prostytutki z żołnierzami.

Niewątpliwy sukces aktorski odniosła interpretatorka roli tytułowej Karina Waśkiewicz. W miarę potrzeby potrafiła być dzielna, rubaszna, ironiczna, błyskotliwa w dysputach, tkliwa wobec kalekiej córki Katarzyny, pod koniec zmęczona, osamotniona i wreszcie w finale — jak na odważną Courage przystało — zbuntowana przeciwko osaczeniu w błędnym kole rozpaczy.

Sprawne aktorstwo wykazała Barbara Komorowska w roli niemowy Katarzyny. Sugestywnie grała prostytutkę Yvette — Barbara Bardzka. Interpretowany przez nią song o fraternizacji przerywały oklaski widowni. Z mężczyzn wyróżnił się Stanisław Jaszkowski w roli Kucharza i grający Kapelana Henryk Dłużyński. Role synów Matki Courage grali Mieczysław Banasik i Tadeusz Zapaśnik.

Chwaląc koncepcję przedstawienia, chcę wspomnieć o poprzedzeniu obu aktów sztuki nagraniami piosenek Bulata Okudżawy. „Ballada o królu" i „Piosenka o żołnierskich butach" — to udane komponenty artystyczne współczesnej wizji dramatu Brechta. Sztuki-protestu przeciwko wszelkim wojnom i innym siłom niszczącym wolność człowieka. Sztuki — buntu przeciwko przestarzałym konwencjom, wpajanym usilnie już od dziecka. Sztuki — afirmacji naturalnych praw człowieka. Tę artystyczną syntezę prezentuje Teatr Dramatyczny im. Węgierki w Białymstoku.

*) Bertolt Brecht — „Matka Courage i jej dzieci", przełożył Stanisław Jerzy Lec. Songi tłumaczyli: Władysław Broniewski, Stanisław Jerzy Lec, Robert Stiller, Joanna Wolterówna, Krystyna Wolińska. Inscenizacja i reżyseria — Mirosław Wawrzyniak. Scenografia — Zbigniew Więckowski. Muzyka — Paul Dessau.

Karina Waśkiewicz w scenie finałowej
Fot. St. Dukiewicz

O mini-reformie ortografii

„Iż Polacy nie gęsi..."

W POŁOWIE stycznia Ibis, redaktor kącika językowego „Życia Warszawy" pt. „Byki i byczki", wystąpił z oświadczeniem, że „Życie przestaje uznawać przepis, nakazujący pisać małą literą nazwy wytworów przemysłu (samochód warszawa, motorower komar itp.) i wprowadza na jego miejsce inny: pisanie takich nazw wielką literą w cudzysłowie (samochód „Warszawa", motorower „Komar" itp.). Wezwał też inne pisma, by poszły za przykładem „Życia". Dzienniki i czasopisma, wśród nich również „Kamena", na ogół poparły inicjatywę Ibisa i wprowadziły w życie jego propozycję. Stoimy więc przed faktem dokonanym, a jednocześnie w obliczu rozbieżności między ortografią oficjalnie obowiązującą (i nauczaną w szkołach), a pisownią, stosowaną przez znaczną część prasy polskiej. Sądzę, że wobec tego sprawa zasługuje na zajęcie się nią nieco bardziej szczegółowo.

Ma ona dwa aspekty: formalny i merytoryczny. Po pierwsze, chodzi o to, czy zespół redakcyjny „Życia Warszawy" był uprawniony do choćby cząstkowej zmiany obowiązującej pisowni. Po drugie, trzeba ustalić, czy istotnie zmieniony przez Ibisa przepis był niefortunny i czy w nowym brzmieniu jest lepszy, praktyczniejszy.

Jeżeli chodzi o pierwszy aspekt, to Ibis przegrywa 6:1, bo niewątpliwie jedyną instytucją, uprawnioną do dokonywania zmian i uzupełnień przepisów ortograficznych, jest Komitet Językoznawczy PAN, działający w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty. Z formalnego więc punktu widzenia obecna mini-reforma pisowni jest „nielegalna".

Dodajmy, że została dokonana w nie najszczęśliwszym momencie, akurat po ukazaniu się na rynku księgarskim w wielotysięcznym nakładzie nowych wydań „Zasad pisowni polskiej" i „Słownika ortograficznego" Jodłowskiego i Taszyckiego i zupełnie nowej „Ortografii polskiej", opracowanej przez Klemensiewicza. Ogół piszących ma więc teraz przed oczami dwa różne wzorce ortograficzne: jeden w wyżej wymienionych książkach, drugi w prasie, co rozchwiewa i tak nie dość silną u nas pewność ortograficzną. W jeszcze trudniejszym położeniu znaleźli się ze zrozumiałych przyczyn nauczyciele-poloniści.

Odmiennie się przedstawia aspekt merytoryczny sprawy. Krytycy przepisu, nakazującego pisać małą literą nazwy wytworów przemysłu, wytaczają dwa argumenty niejednakowej wagi. Po pierwsze twierdzą, że stosowanie tej zasady prowadzi do nieporozumień i mimowolnej humorystyki językowej. Na dowód przytaczają zwroty „osa zderzyła się z komarem", „żubr potrącił żuka" itp. Nie jest to argument zbyt mocny, bo przykłady wydają się dobrane tendencyjnie. Poza tym wyrazy wieloznaczne istnieją w każdym języku i ludzie piszący jakoś sobie z nimi radzą mimo takiej samej ich pisowni. Zajrzyjmy np. do „Małego słownika języka polskiego". Znajdziemy w nim na s. 21 dziewięć (!) znaczeń wyrazu „babka". Idąc za tokiem myśli Ibisa, należałoby wymyślić aż dziewięć sposobów pisania tego wyrazu, a to przecież absurd. Wystarczy go użyć w odpowiednim kontekście, aby nie mieć wątpliwości, o co chodzi.

Drugi argument na rzecz pisania nazw wytworów przemysłu wielkimi literami to powołanie się na to, iż tak się je dawniej pisało. Czy istotnie tak było? I tak, i nie. Tak, bo rzeczywiście istniała dość silnie utrwalona i właściwie nigdy nie zarzucona tradycja pisania wielką literą (niekoniecznie w cudzysłowie) nazw m a r e k fabrycznych (samochód marki Mercedes, krem Nivea, papierosy Wawel itp.). Nie, bo takiego przepisu ortograficznego nie było: reformatorzy pisowni polskiej w latach 1936 i 1957 po prostu przeoczyli tę sprawę, poprzestając na orzeczeniu, że „nazwy napojów, np. koniak, tokaj, pisze się małą literą". Ani więc Klemensiewicz, ani Jodłowski i Taszycki nie zmienili w swoich książkach starej zasady, lecz tylko zastosowali interpretację rozszerzającą przytoczonego przepisu, ustalając pisownię pewnej grupy terminów, które przedtem właściwie każdy mógł pisać, jak chciał.

Dlaczego ta interpretacja została przyjęta niechętnie? Sądzę, że właśnie dlatego, iż stanowiła odstępstwo od tradycji i była niezupełnie zgodna z poczuciem językowym ogółu piszących, którym nazwy marek fabrycznych kojarzyły się raczej z imionami własnymi niż z rzeczownikami pospolitymi. Zaproponowana przez Ibisa pisownia nawiązuje do tradycji i bardziej odpowiada poczuciu językowemu. To, jak sądzę, zadecydowało o jej przychylnym przyjęciu i uznaniu przez dziennikarzy. Decyzja, czy zatwierdzić, czy odrzucić tę bądź co bądź samowolną zmianę ortografii, należy oczywiście do Komitetu Językoznawczego PAN i Ministerstwa Oświaty. Miejmy nadzieję, że obie instytucje, rozważając tę sprawę, wezmą pod uwagę głos opinii publicznej.

Witold Kochański

Od redakcji: no a my do czasu wydania takiej decyzji będziemy jednak pisali — samochód „Warszawa".

Kamena str. 8

Dokończenie ze str. 1

Była to pierwsza na ten temat konferencja w Polsce, nic więc dziwnego, że uczestnictwo zgłosiło aż 340 osób, a nieoficjalnie zjawiło się jeszcze kilkadziesiąt. O przebiegu konferencji informowała prasa codzienna. My ograniczamy się do publikacji szeregu fragmentów z większości wygłoszonych referatów. Nie dają one pełnego obrazu omawianych zagadnień, sądzimy jednak, że wzbudzą u czytelników wiele osobistych refleksji — w sensie

Prof. dr J. Zieleniewski

Prof. dr J. Kurnal

Doc. dr K. Sand

Mgr M. Dobrzyński

Mgr B. Wawrzyniak

PODGRYZACZE czyli rzecz o biurokracji

nie tylko narzekania, ale przede wszystkim wyciągnięcia wniosków celem ulepszenia własnego postępowania w urzędzie, przedsiębiorstwie, organizacji, uczelni itd.

Prof. dr JERZY KURNAL
kierownik Katedry Teorii Organizacji i Zarządzania SGPiS

Etymologicznie biorąc — biurokracja oznacza władzę biura (franc. bureau = biuro, gr. kratos = władza), a bardziej ściśle — władzę, wykonywaną poprzez ludzi tworzących biuro, w biurze zatrudnionych, czyli urzędników. Nie jest całkiem pewne, kto pierwszy i na oznaczenie czego dokładnie użył terminu biurokracja. Wiadomo jest jednak, że przez długi czas potem przez biurokrację rozumiano znamiennie przede wszystkim: 1) wyodrębnioną

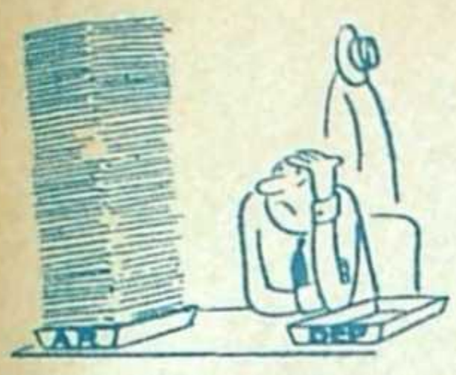

społeczną warstwę urzędników, tzn. ludzi zatrudnionych zawodowo w działalności administracyjnej, 2) ogół instytucji realizujących w danym społeczeństwie władzę państwową, 3) sposób wykonywania przez instytucje władzy państwowej, czyli sposób, w jaki zorganizowana była działalność tych instytucji. (...)

W miarę postępującego procesu formalizacji instytucji coraz mocniej zaczynają uwidaczniać się skutki nie zamierzone, negatywne ze względu na sprawność działania. Ich nagromadzenie hamuje podwyższenie sprawności i w końcu doprowadza do jej obniżania. W przedziale powyżej najkorzystniejszego stopnia sformalizowania, czyli przy stanie przeformalizowania instytucji, nie zamierzone, negatywne skutki procesu formalizacji dominują nad skutkami pozytywnymi (zarówno zamierzonymi, jak i nie zamierzonymi) ze względu na sprawność. Te właśnie nie zamierzone skutki formalizowania instytucji, obniżające jej sprawność, są treścią tego, co przywykliśmy określać mianem zjawisk biurokratycznych, przerostów biurokratycznych lub po prostu — biurokracji w jej współczesnym, potocznie używanym znaczeniu. Jest to znaczenie pejoratywne. (...)

Inaczej mówiąc, pojęcie biurokracji we współczesnym, potocznym (pejoratywnym) rozumieniu nabiera treści przez powiązanie go z jednej strony — z procesem formalizacji instytucji, z drugiej zaś ze sposobem zorganizowania i sprawnością działania instytucji. Biurokracja jest najważniejszym problemem, związanym z funkcjonowaniem formalnej struktury organizacyjnej działania, obciążonym jednak znamiennym paradoksem. Polega on na tym, że biurokracja, która z założenia miała być idealnym wzorem sposobu zorganizowania instytucji, zapewniającym najwyższą sprawność jej działania, staje się synonimem obniżania tej sprawności. Wynika stąd wniosek, że instytucja działania ludzkiego, zwłaszcza zespołowego, nie może być organizacyjnie zbudowana i kierowana na wzór maszyny (biurokracja z założenia jest „maszynowym" modelem organizacji działania), lecz że wymaga znacznie bardziej złożonego sposobu zorganizowania niż najbardziej nawet skomplikowana w swej budowie i funkcjonowaniu maszyna. Większa od złożoności jakiejkolwiek maszyny złożoność organizacji działania człowieka sprowadza się do jej uwrażliwienia na rozmaitego rodzaju ludzkie zachowania. (...).

Prof. dr Jan Zieleniewski
kierownik Zakładu Prakseologii PAN

Zapoczątkowana już przez Marksa i Engelsa, a kontynuowana przez Lenina walka z biurokracją toczy się dalej i to zarówno w naszym obozie, jak i w krajach kapitalistycznych. Pamiętamy liczne nawoływania najwybitniejszych przedstawicieli partii w naszym kraju o wyplenienie biurokracji, tej „plagi odziedziczonej wraz z aparatem urzędniczym i wraz z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi", powtarzane wielokrotnie, szczególnie do roku 1950. Spotykamy podobne wypowiedzi i w innych krajach socjalistycznych.

Nie brak jednak „walki z biurokracją" także w krajach kapitalistycznych. „Walka" ta — nie próbując na ogół sięgnąć do źródła zła — toczy się zwykle dwoma głównie torami. Jedna — to nawoływanie do wyrzeczenia się złych praktyk biurokratycznych, przekonywania i „kazania"; jest to, chciałoby się powiedzieć, metodą „zaklęć magicznych". Druga przypomina „zwalczanie diabła przez Belzebuba". Polega mianowicie na wydawaniu w drodze administracyjnej zarządzeń, mających zwalczyć biurokrację. Zakazuje się na przykład wprowadzania zbędnych sprawozdań; dla kontroli jego wykonania wprowadza się obowiązek składania sprawozdań z wykonania zakazu. (...)

Czyż jednak we współczesnym świecie można kierować ludźmi inaczej, niż „zza biurka?" Liczba informacji, które trzeba wchłonąć, przekształcić, poprzestawiać, przefiltrować, zapamiętać, zapisać, przetworzyć na decyzje i przekazać do wykonania — jest w każdej instytucji rządowej, nawet średniej co do rozmiarów, tak potwornie olbrzymia, że nikt (poza chyba jakimiś wyjątkowymi geniuszami) nie jest w stanie rządzić sprawiedliwie, skutecznie i w ogóle sprawnie, nie opierając się na danych, zaewidencjonowanych w różnego rodzaju zapiskach. Nikt też nie jest w stanie sprawnie wykonać w instytucji żadnych funkcji (podstawowych, pomocniczych, regulujących), nie mając do dyspozycji zarówno owych zaewidencjonowanych danych dotyczących faktów, ani też nie opierając się na gotowych — zaewidencjonowanych i łatwo dostępnych — interpretacjach faktów oraz na z góry przemyślanych, zapisanych i zaleconych sposobach postępowania czyli instrukcjach. Ewidencja i dokumentacja w coraz większej mierze staje się i musi się stawać bardziej bezpośrednią podstawą działania niż fakty, których dotyczy. Ale ewidencję i dokumentację trzeba przechowywać, odszukiwać, odczytywać i stosować właśnie przy biurku. (...)

Pierwszą i najbardziej podstawową cechą biurokracji, głównym i decydującym elementem biurokratyzmu, jest przeto konieczność opierania się w pracy na ewidencji i dokumentacji. Cecha ta dotyczy przede wszystkim wykonywania w instytucjach funkcji regulujących i pomocniczych. (...)

Biurokratyzm może jednak pociągać za sobą — i często pociąga — bardzo poważne niebezpieczeństwo: „akt", „dokument", „papierek" może zasłonić w oczach urzędnika „istotę" sprawy, której ów „akt" dotyczy. A „istotą" każdej sprawy jest ostatecznie zawsze istota ludzka — jest człowiek, którego osobowości, potrzeb, kłopotów, ambicji i komplikacji życiowych nigdy nie da się bez reszty zamknąć w dokumencie urzędowym. Człowiek ten to zawsze członek „kręgu zewnętrznego" instytucji, w skład „rdzenia" której wchodzi urzędnik, „załatwiający" ów akt urzędowy. Cena, którą musimy płacić za niezbędne usprawnienie, polegające na wprowadzeniu ewidencji i dokumentacji, jest zaiste wysoka: jest nią niebezpieczeństwo, że w oczach urzędnika kręgiem zewnętrznym, dla którego on się — nieraz ciężko — trudzi, stają się papierki, bez reszty zasłaniające kryjących się za nimi żywych ludzi. Wyalienowuje to urzędnika ze społeczeństwa, bo odrywa go od tych, którym w istocie powinien służyć. Taki stan rzeczy nazywamy zwykle „bezdusznością urzędników". (...)

Czy to znaczy, że w tej sytuacji społeczeństwa współczesne znajdują się w błędnym kole? Nie sądzę, aby tak było. Rzecz w tym, że nie biurokrację jako warstwę społeczną, w masie swojej pełną dobrej woli, często wysoko kwalifikowaną i nierzadko ofiarną i nie biurokratyzm, jako konieczny w obecnych warunkach sposób funkcjonowania instytucji, trzeba zwalczać. Walka powinna się toczyć przeciwko przerostom biurokratyzmu. I może być skuteczna, jeżeli zostanie skierowana nie przeciw objawom, lecz przeciw źródłom przerostów. (...)

Mgr Marian Dobrzyński
st. asystent Katedry Teorii Organizacji i Zarządzania SGPiS

Drobne przejawy biurokratyzmu są nieuniknionym odstępstwem od optymalnego funkcjonowania instytucji. Całkowite ich usunięcie jest w praktyce rzadko osiągalne. (...)

Natomiast masowe występowanie przejawów biurokratyzmu jest zjawiskiem niewątpliwie patologicznym społecznie. Jego dysfunkcjonalny charakter przejawia się: a) w szkodach, wynikających z niedostatecznej realizacji przez instytucję ważnej społecznie usługi oraz b) w samym fakcie ponoszenia przez społeczeństwo kosztów istnienia instytucji, która nie realizuje spodziewanych usług.

Stroną działającą na rzecz własnych, konkretnych interesów, jest zawsze interesant, zepchnięty tym samym przez funkcjonariuszy na pozycję petenta. Dotyczy to nie tylko instytucji, będących organami władzy usankcjonowanej prawnie. Weźmy przykład tak bezspornie usługowej instytucji jak dostępna publicznie restauracja. Przewaga kelnera nad gościem wynika z faktu, że każda restauracja może posiadać z określonego punktu widzenia cechy monopolistyczne, ponieważ klientowi z jakiegoś powodu (czas, poziom czy cena usługi) zależy na spożyciu posiłku właśnie w tej a nie innej restauracji. Przejście do innego zakładu pociągnęłoby za sobą dodatkowy „koszt". Poza tym klient, zwróciwszy się o usługę, już poniósł pewien koszt w postaci czasu, zużytego na przebycie drogi do punktu usługowego. W przeciwieństwie do klienta, kelner nie poniósł żadnego kosztu do momentu rozpoczęcia usługi i na tym m. in. polega jego przewaga nad konsumentem. Jednocześnie temu ostatniemu bardziej „opłaca się" nawet narazić na drobne szykany ze strony kelnera (polegające np. na narzuceniu menu posiłku), niż przejść do innej restauracji. (...)

Następnym ważnym źródłem przewagi pozycji funkcjonariusza nad interesantem jest fakt, że zwykle instytucja, którą reprezentuje funkcjonariusz ustala warunki interakcji, a przede wszystkim: a) jej formę (ustną czy pisemną, a jeśli pisemną to według jakich reguł sformułowaną?), b) sposób uzasadniania rzetelności informacji podawanych przez interesanta (jakie załączniki, ile i o jakiej treści, przez kogo potwierdzone?), c) moment interakcji (tak zwane godziny przyjęć), d) termin reakcji na działanie interesanta (termin udzielenia odpowiedzi w danej sprawie). (...)

Tak więc wyróżniamy: 1) zachowanie zbiurokratyzowane wynikające z czynników ekologicznych, tkwiących w systemie organizacyjnym instytucji, 2) zachowanie zbiurokratyzowane wynikające z nieadekwatności motywacji funkcjonariusza do jego zadań, 3) zachowanie zbiurokratyzowane wynikające z nieadekwatnej do zadań wydolności funkcjonariusza. (...)

Z prakseologicznego punktu widzenia motywy zachowania funkcjonariusza są wyznaczone bądź to dążeniem do minimalizacji kosztów działań, bądź dążeniem do maksymalizacji korzyści. W systemie wynagrodzenia stałego jego wysokość jest w zasadzie niezależna od ilości i jakości wykonanej pracy (wysiłku w nią włożonego). Jeśli kary uznamy również za formę kosztu, wówczas możemy spodziewać się, że funkcjonariusz będzie unikał działań w takich sytuacjach, gdy wartość grożącej mu „kary" jest mniejsza niż wartość kosztu włożonego w dane działanie, czyli gdy koszt działania przewyższa koszt kary.

Podobnie rzecz ma się w drugim wariancie wymienionej zasady ekonomizacji działań, inny jest tylko punkt wyjścia. Za stałą przyjmujemy tym razem koszt działania (wysiłek) a za zmienną wynagrodzenie (korzyści). W sytuacji, gdy dla jakiejś przyczyny funkcjonariusz musi wykonać daną pracę, a więc wydatkować określoną ilość wysiłku, dąży on do uzyskania maksymalnych korzyści, np. przez skłanianie interesanta do świadczeń dodatkowych.

Obok dwóch wymienionych, dostrzegamy jednak również pewne zachowania, których motywu nie da się uzasadnić ani dążeniem podmiotu do minimalizacji wysiłku, ani też dążeniem do maksymalizacji korzyści. Ich wspólną cechą jest niechęć przed samodzielnością, przejawiająca się w literalnym trzymaniu się przepisów, sztywnym naśladowaniu utartych wzorów działań, a w razie braku jednych i drugich — powstrzymywaniu się przed działaniem. Siłą napędową takich zachowań wydaje się być dążenie do minimalizacji ryzyka.

Doc. dr Kazimierz Sand
kierownik Katedry Prawa Administracyjnego UMCS

Usprawnienie działalności administracji państwowej ma nie mniejsze znaczenie niż usprawnienie działalności przedsiębiorstw państwowych. Znaczenie tych zabiegów jest szczególnie ważne w PRL, gdzie styk przedsiębiorstw jest o wiele większy z administracją państwową niż w innych państwach, a konsekwentnie realizowana zasada udziału szerokich mas w administracji państwowej sprawia, że proces usprawnienia administracji staje się problemem ogólnospołecznym, którego rozwiązania domagają się szerokie masy, raz będące przedmiotem działania organów administracji państwowej, drugi raz uczestniczące w rozwiązywaniu tych zagadnień przez bezpośrednie uczestnictwo w sprawowaniu tej administracji. (...)

Celem usprawnienia jest niewątpliwie podniesienie wydajności i efektywności działania administracji, lepsze wykorzystanie rezerw, tkwiących w naszych biurach i urzędach, większe niż dotychczas stosowanie kultury administrowania itp. Zadania te, choć trudne, można jednak rozwiązać przez skuteczną walkę z biurokratyzmem, przewlekłością jej działania itp. Głównym więc celem akcji usprawnieniowej jest przede wszystkim polepszenie usług, świadczonych przez aparat administracyjny na rzecz ogółu obywateli, zwiększenie wydajności pracy, no i zmniejszenie kosztów utrzymania aparatu administracyjnego. (...)

Trudno jest również przyjąć bez uwag postanowienie instrukcji Prezydium WRN, że telefoniczną formę załatwiania spraw stosuje się tylko w sprawach wyjątkowo pilnych. Ograniczenie to nie godzi się już z postępem techniki, jaki następuje w każdej dziedzinie. Drogą telefoniczną można uzyskać informacje bardzo szybko od kompetentnego pracownika lub urzędu bez obciążania szeregu pracowników, jak np. maszynistek, przełożonego, który musi podpisać pismo, pracowników kancelarii, które je wysyłają, oraz w zasadzie takiego samego zespołu osób w urzędzie lub instytucji, do której zwracamy się o informację. Oczywiście, że w takich przypadkach, gdy informację uzyskuje się drogą telefoniczną, referent musi sporządzić na akcie odpowiednią adnotację ze swoim podpisem (...)

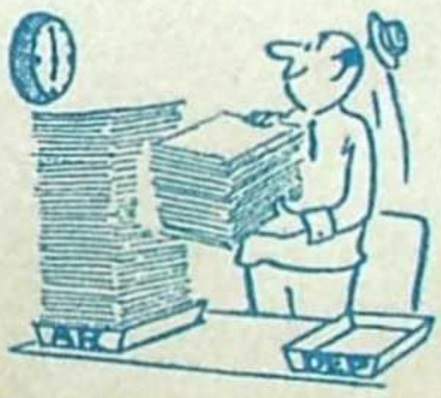

Przejawem podjęcia akcji usprawnieniowej w administracji państwowej jest zarządzenie nr 76 Prezesa Rady Ministrów z dnia 27 XII 1966 r. w sprawie usprawnienia organizacji i metod pracy oraz ograniczenia wzrostu zatrudnienia w jednostkach administracji państwowej. Myślą przewodnią tego aktu było objęcie działalnością usprawnieniową całego aparatu administracji państwowej, zarówno na szczeblu centralnym jak i terenowym. (...)

Wypada jeszcze zaznaczyć, że samym nakazem, dyrektywą, administracji się nie poprawi, gdyż usprawnienie zależy przede wszystkim od woli zainteresowanych. Kolosalną rolę odgrywa tu tzw. samokontrola, tzn. kontrola wykonywana w obrębie wszelkich stanowisk pracy przez osoby zajmujące te stanowiska. Samokontrola ma ogromne znaczenie dla doskonalenia znajomości stanowisk pracy, zarówno kierowniczej jak i niekierowniczej, stwarza bowiem możliwość wykrywania i usuwania błędów przez tego, kto je popełnił, bez ingerencji z zewnątrz. Realizacja tego postulatu wymaga wyrobienia u pracowników administracyjnych zmysłu samokrytycyzmu — co jest zwłaszcza wtedy możliwe, gdy pracownik rozporządza dużym zasobem wiedzy teoretycznej i doświadczeniem praktycznym. Chodzi tu również o odpowiedni klimat wśród pracowników, którzy muszą zrozumieć konieczność procesu usprawniania i chcieć w tym procesie brać aktywny udział — sama bowiem działalność z zewnątrz nie wystarczy. Stąd waga popularyzacji wśród pracowników administracji państwowej zasad naukowej organizacji pracy. (...)

Mgr Bogdan Wawrzyniak
st. asystent Katedry Teorii Organizacji i Zarządzania SGPiS

...Przejawem biurokratyzmu będącym rezultatem istnienia wielu ośrodków władzy w stosunku do spółdzielni, był nadmiar sprawozdawczości. Co prawda, w myśl ogólnie obowiązujących w naszym kraju przepisów, spółdzielnie spożywców obowiązywała jedynie sprawozdawczość zatwierdzona przez Główny Urząd Statystyczny. Jednak w rzeczywistości spółdzielnie

wykonywały prace sprawozdawcze nie tylko w zakresie określonym przez wspomnianą centralną instytucję. Sprawozdań żądały wydziały właściwych dla danej spółdzielni rad narodowych, działy okręgów, biura Centrali „Społem" ZSS, że wymienimy tylko najważniejszych „usługobiorców" dodatkowego czasu przeznaczonego na ich wykonanie w spółdzielniach. W wielu przypadkach przekazywane w dodatkowych opracowaniach informacje pracownicy wspomnianych ośrodków władzy mogli uzyskać na drodze zapoznania się z informacjami zawartymi w sprawozdawczości GUS-u. Ale czy nie łatwiej sięgnąć po telefon i zlecić spółdzielni wykonanie takiego czy innego sprawozdania? A przy okazji można wykazać się inicjatywą. Inicjatywą zbiurokratyzowaną, ale przecież działaniem, mogącym usprawiedliwiać zasadność zajmowanej w „urzędzie" pozycji organizacyjnej.

Nadmiar sprawozdawczości to nie tylko kwestia dodatkowej pracy świadczonej na rzecz zainteresowanego w niej ośrodka władzy. To także kwestia jej przygotowania a następnie wykorzystania. Znane jest w spółdzielniach (i nie tylko w nich) powiedzenie „zlecenie na wczoraj". W wielu przypadkach omawiany rodzaj sprawozdawczości jest wykonywany według tego schematu. A więc wymuszona zgoda, pośpiech, niedokładność... i w efekcie przykład „złej roboty" — niepełna lub wadliwa informacja. Z drugiej strony — pojawił się problem wykorzystania sprawozdawczości. Respondenci ze spółdzielni podawali szereg przykładów, gdy sporządzone przez nich sprawozdania wędrowały do biurka „dygnitarza" z któregoś ośrodka władzy. A zarazem prezesi spółdzielni i ich zastępcy skarżyli się, że nie posiadają aktualnej informacji, niezbędnej dla podejmowania operatywnych decyzji kierowniczych.

Wielość ośrodków władzy to także z reguły wielość przez nie wykonywanych kontroli organizacyjnych. Kontrola zewnętrzna była jednym z podstawowych źródeł biurokratyzmu w spółdzielniach. Zarówno duża ilość jednostek kontrolujących, jak i formalistyczne niejednokrotnie podejście kontrolujących do badanych przez nich spraw i osób, stwarzały w spółdzielni klimat obawy przed podejmowaniem decyzji lub działań. Dla pracowników spółdzielni ważną, a niekiedy naczelną sprawą stawało się zabezpieczenie przed spodziewaną z dnia na dzień kontrolą i jej skutkami. Stąd nadmierne dokumentowanie na piśmie podejmowanych działań i decyzji oraz nieuzasadnione kolegialne podejmowanie decyzji. Stąd także obawa przed ryzykiem w działaniach, jakże w wielu sytuacjach pożądanych (...)

Kamena str. 9

okolice sztuki

Książki jak pejzaże

JAKO etatowy introligator muzeum łańcuckiego, Ryszard Ziemba nie zasługiwałby na specjalną uwagę, ponieważ standardowym oprawianiem książek trudni się w Polsce wielu rzemieślników. Toteż nieskomplikowana biografia tego 35-letniego mężczyzny nie mogłaby nikogo bliżej zainteresować. Urodził się we lwowskim Magierowie, skąd w 1944 r. przyjechał do Sędziszowa, gdzie przez pewien czas uczęszczał do Państwowego Liceum Technik Plastycznych. Ostatecznie jednak skończył rzeszowskie liceum ogólnokształcące i rozpoczął pracę w przedsiębiorstwie geodezyjnym, kierując tam pracownią kreślarską. W 1967 r. zrezygnował z nieźle płatnej posady i znalazł się w Łańcucie, ściślej — w obskurnym pomieszczeniu, zwanym nie wiadomo dlaczego pracownią.

Ze szkół nie wyniósł więc głębszej wiedzy plastycznej, formalnie rzecz biorąc jest po prostu introligatorem, i do tego przyuczonym do zawodu. Nie posiada uprawnień profesjonalnego artysty, bo nie jest członkiem ZPAP. Żaden sklep z materiałami „artystycznymi" nie sprzeda mu pędzelka czy papieru czerpanego, bo Ziemba to amator, a może jeszcze gorzej. Ale o co tu w końcu chodzi, kim jest naprawdę Ryszard Ziemba?

Dr Jan Kuglin z Katedry Bibliotekarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego powiedział kiedyś o rezultatach jego pracy, że są to „rzeczy piękne, dotychczas w introligatorstwie polskim nie spotykane... R. Ziemba jest w dziedzinie introligatorskiej fenomenem, nie tylko w warunkach polskich ale i światowych". Dodajmy jeszcze, że te „rzeczy" — niezwykłej często urody oprawy książek — wykonuje on na osobisty rachunek moralno-artystyczny i materialny, bo jak się rzekło, w Łańcucie zajmuje się najzwyklejszym rzemiosłem, za co go winić nie należy. Nie jego wina, ale jego bieda — jak mawiają Rosjanie.

Pasja Ziemby zaczęła się jeszcze w szkole podstawowej i trwa bez przerwy do dziś. Zawsze rozwijała się obok pracy dla chleba. Pochłaniała niemałe sumy, wykrajane z pensji. Warsztat Ziemby liczy ponad 200 narzędzi: specjalnych tłoków, czcionek, igieł wykonanych własnoręcznie, jako że żadne przedsiębiorstwo krajowe ich nie produkuje. Najczęściej oprawia książki w skórę, czasami w pergamin, stosując różne techniki zdobienia, m. in. mozaikę, ornament „na ślepo" lub na „złoto", nacinanie, wypalanie rozżarzoną igłą. O jego biegłości technicznej można by powiedzieć sporo, ale są sprawy ważniejsze. Na pierwszym miejscu fakt, że Ziemba posiada koncepcję swojego działania, opartą na przeświadczeniu o strukturalnej zależności treści książki z wyrazem plastycznym jej oprawy. Jak dla malarza pejzażysty realny krajobraz jest przedmiotem interpretacji, tak dla Ziemby staje się nim książka, jej treść. Z lektury mrocznych i krwawych „Żywotów cezarów" Swetoniusza utkwiła mu w pamięci „sica", broń skrytobójców. Nie widział jej jednak nigdy, a w żadnej z dostępnych encyklopedii rysunku tego miecza nie znalazł. Bezradni okazali się również historycy, których listownie w tej sprawie nagabywał. Powrócił do książki i na podstawie ułamkowych opisów narysował ów krótki i zakrzywiony miecz, zdobiący jego oprawę „Żywotów".

Ziemba posiada sporą wiedzę historyczną i z zakresu bibliofilstwa, jego prywatny księgozbiór przekracza 2 tys. tomów. Kiedy więc opracowuje okładkę dla publikacji o charakterze historycznym, bez trudu trafia w stylistykę danej epoki. Ale nie naśladuje, nie kopiuje dawnych motywów. Co najwyżej stylizuje je, przysposabia do własnej koncepcji. Tak np. postępował w przypadku „Polskiej książki ilustrowanej 1800—1900" A. Banacha. Oprawiona w biały pergamin okładka irytuje nieco swoją nadmierną ozdobnością, składającą się z kompozycji literowej i bordiury ze stylizowanym ornamentem roślinnym tłoczonej złotem. A do tego jeszcze na dole i grzbiecie okładki kompozycja liniowa malowana czerwonym lakierem. Dlaczego tak? „Bo rażące nas dziś bogactwo i dekoracyjność były właściwe dla ubiegłowiecznej ilustracji" — odpowiada autor.

Znaczną elastyczność wyobraźni i inwencję ujawnia Ziemba przy okładkach książek współczesnych. „Do wyboru, do koloru" Wiecha wykleił różnobarwnymi kawałkami skóry, jak mówi, znalezionymi na śmietniku szewskim, na ulicy. „Zaczarowaną dorożkę" Galczyńskiego oprawił w czerwoną skórkę cielęcą, na której wytłoczył dwa przenikające się eliptyczne motywy... Całkowicie osobną grupę prac tworzy tzw. „historia formy książki i jej oprawy" — wierna rekonstrukcja wyglądu książek od asyryjskich i egipskich począwszy, zrealizowana wyłącznie w celach dydaktycznych.

Po raz pierwszy wystawił Ziemba swoje prace w Rzeszowie w 1964 r. Dwa lata później miał wystawę w Muzeum Narodowym w Krakowie, w 1967 r. — w Łańcucie, a niedawno w Lublinie, w Muzeum Czechowicza. Pierwsze dwie ekspozycje zwróciły uwagę fachowców, co pozwoliło mu na uzyskanie obecnej pracy w Muzeum Łańcuckim. Co tam robi i w jakich warunkach, wiemy. Wiemy też, że brak odpowiedniego warsztatu — ten, którym dysponuje, pozwala tylko na uprawianie osobistej pasji — uniemożliwia Ziembie działalność na szerszą skalę. A tymczasem w krajowych magazynach archiwalnych i muzealnych kurz pokrywa cenne starodruki i pierwodruki. Wymagają one konserwacji. Lecz jedyny w kraju specjalista od tego typu zagadnień zajmuje się trywialnym rzemiosłem, mówiąc po prostu — marnuje swoje umiejętności. Najpiękniejsze oprawy wykonuje dla siebie. Chwalą je historycy sztuki — prof. prof. Z. Ameisenowa, T. Bochnak, A. Maliński. I na tym się kończy.

Moim zdaniem Ziemba nie jest tylko kontynautorem starej i pięknej umiejętności introligatorskiej. Jest jak najbardziej współczesnym grafikiem książkowym. Za sprawą panujących wśród plastyków profesjonalnych opinii o amatorach — ignorowanym przez ZPAP. Można być autentycznym plastykiem, lecz jeśli się nie ma legitymacji związkowej nie sposób zaopatrzyć się w potrzebne do pracy materiały, nie mówiąc już o otrzymaniu instytucjonalnego zlecenia na konkretną robotę. Można odwalać serie szyldów i „przecierek", lecz jeśli z legitymacją ZPAP w kieszeni, to jest się artystą. Ale to chyba jakieś zasadnicze nieporozumienie.

IJK

ekran i widz

Było to dawno

BYŁO to dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Lublin był Warszawą. Tutaj też koncentrowało się ówczesne życie kulturalne. Poza literatami i plastykami ściągnęli do miasta także pierwsi filmowcy. Na krótki okres Lublin stał się stolicą „polskiej kinematografii". Uboga to była jeszcze kinematografia, ale była przecież u podstaw rozwiniętego dzisiaj przemysłu filmowego i dlatego nie od rzeczy będzie przypomnieć jej początki.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. do Lublina przybyła Czołówka Filmowa Wojska Polskiego (powstała w 1943 r. na terenie ZSRR przy 1 Dywizji WP). Pierwszą siedzibą Czołówki była willa przy ul. Boczna Lubomelskiej, należąca jeszcze do niedawna do generała SS i policji — Globocnika. Zrządzenie losu sprawiło, że właśnie w miejscu, skąd wychodziły instrukcje dotyczące masowego wyniszczenia ludności Lubelszczyzny, teraz powstał oskarżycielski filmowy dokument — „Majdanek — cmentarzysko Europy". Tu zrealizowano też pierwszy numer Polskiej Kroniki Filmowej. Zaplecze techniczne Czołówki prawie nie istniało, filmy produkowano w prymitywnych warunkach. Np. negatywy ukazujące Lublin tuż po wyzwoleniu wywoływane były w wannie.

Prawie natychmiast po opuszczeniu miasta przez hitlerowców rozpoczęły działalność trzy istniejące wówczas w Lublinie kina: „Rialto", „Apollo" i „Wenus" (dzisiaj — „Staromiejskie", „Wyzwolenie" i „Robotnik"). Tylko w kinie „Rialto" ocalała aparatura projekcyjna. Tam więc, 30 lipca 1944 r., mógł się odbyć pierwszy, historyczny pokaz zestawu filmów krótkometrażowych „Czołówki". Wkrótce potem, dzięki przekazaniu przez wojskowe władze radzieckie przenośnych aparatów projekcyjnych — tzw. „pieredwiżek" — rozpoczęły działalność kina „Apollo" i „Wenus". Poza filmami — reportażami z frontu, publiczność mogła oglądać m. in. „Trzech muszkieterów" oraz „Cyrk".

Szczególnie trudno było o filmy fabularne. Wprawdzie na strychu kina „Wenus" odkryto przypadkowo kilka filmów, schowanych tam jeszcze we wrześniu 1939 roku, ale znajdowały się one w bardzo złym stanie technicznym. Sytuacja zmieniła się na lepsze, gdy do Lublina przyjechał przedstawiciel kinematografii radzieckiej, Britikow, mający za zadanie pomóc w organizacji kinematografii polskiej. Wówczas to na lotnisku w Radawcu wylądował samolot z Moskwy, przywożąc liczne filmy fabularne, wśród nich także sporo przedwojennych filmów polskich. Te ostatnie były często zdekompletowane, brakowało niektórych aktów, a np. film „Barbara Radziwiłłówna" miał na dużych odcinkach zniszczoną perforację. Dzięki umiejętnym zabiegom konserwatorskim, dokonanym przez personel miejscowych kin, filmy te jednak ukazały się na ekranach.

Frekwencja w kinach była ogromna, polskie słowo padające z ekranu witano z entuzjazmem. Wielką owację zgotowano Adolfowi Dymszy, który przypadkowo pojawił się w kinie „Rialto" na projekcji swego filmu „Bolek i Lolek". Kulturalnym wydarzeniem stała się jesienią 1944 r. uroczysta lubelska premiera „Raduga" („Tęczy") wg książki Wandy Wasilewskiej, na którą przybyła autorka.

Na początku października Czołówka Filmowa została przekształcona w Wytwórnię Filmową Wojska Polskiego. Jej dotychczasowa działalność w zakresie rozpowszechniania filmów na terenach wyzwolonych przeszła w gestię Oddziału Kinofikacji oraz Biura Wynajmu Filmów, powstałych przy Wydziale Propagandy Filmowej Resortu Informacji i Propagandy PKWN. Oddział Kinofikacji w styczniu 1945 r. przeniósł się do Łodzi i przekształcił w Centralny Zarząd Kinofikacji. W Lublinie utworzono Ekspozyturę Warszawskiej Okręgowej Dyrekcji Filmu Polskiego. Pierwszym kierownikiem Oddziału Kinofikacji była Maria Sokorska, pracą Biura Wynajmu Filmów kierował Józef Jusiński.

Lubelscy pracownicy kinowi okazali się środowiskiem bardzo prężnym. Już 1 października 1944 r. utworzyli przy Resorcie Kultury PKWN Związek Zawodowy Pracowników Filmowych, którego przewodniczącym został Władysław Wiśniewski — wówczas konserwator filmów, a obecnie główny kinooperator kina „Wyzwolenie", zaś sekretarzem Mieczysław Makowski, dzisiejszy kierownik Wydziału Rozpowszechniania Filmów WZK w Lublinie. Rok 1945 powitano wielkim balem sylwestrowym zorganizowanym w wyremontowanym własnymi siłami kinie „Apollo". Podczas balu wznoszono liczne toasty za zwycięstwo oraz ...za każde kino na Lubelszczyźnie, które wznowiło działalność. Tych ostatnich toastów nie było jednak zbyt wiele — w całym województwie lubelskim projekcje mogły się odbywać tylko w siedmiu salach kinowych.

Przypomniały mi się te bardzo dawne już dzieje, kiedy siedziałem ostatnio przy kawie ze Zbigniewem Stępniakiem, w 1944 r. młodym chłopcem, pomocnikiem operatora, a obecnie nieco zażywnym panem, dyrektorem Wojewódzkiej Ekspozytury Centrali Wynajmu Filmów. Nie wyczerpaliśmy wtedy interesującego tematu. Warto będzie chyba do niego jeszcze powrócić i w rozmowie i na łamach „Kameny".

MD

z bocznej trybuny

Znudzenie wyczynem

NAJSTARSZY zwycięzca tegorocznych mistrzostw Europy w boksie miał 30 lat. Najmłodsi — po 20; i to aż czterech zawodników w tym wieku zdobyło złote medale. Młodzież w Europie i USA coraz wcześniej dojrzewa fizycznie, co ma swoje odbicie także i w sporcie. W drużynach piłkarskich spotyka się chłopców 17-letnich — niegdyś całą grupę ich wprowadził kolejno do swego pierwszego zespołu „Górnik" Zabrze. W Wyścigu Pokoju, piekielnie męczącej imprezie kolarskiej, startował niejeden dwudziestolatek. Stadiony lekkoatletyczne pełne są długodystansowców, mających za sobą krótką karierę — choć tak niedawno jeszcze, żeby pobiec na 5 czy 10 km, trzeba było mieć za sobą lata treningów. Na pływalniach nieledwie dzieci biją rekordy świata. Sport wyczynowy przestał być zabawą, żartem, rozrywką. Jest dziś sprawą prestiżu, często ambicji narodowych i politycznych. Kształcenie młodych sportowców odbywa się już nie metodą chałupniczą, przekazywania wiadomości z ojca na syna, czy eks-mistrza na młodego zawodnika. Dziś na wynik sportowy pracuje oprócz trenerów i zawodników także grono innych ludzi, nieraz nie mających żadnej przeszłości sportowej; lekarze, fizjolodzy, psycholodzy. Działają instytuty naukowe kultury fizycznej i akademie wychowania fizycznego. I to wszystko dla młodzieży wychowanej w nowych, powojennych warunkach materialnych, tak przecież różnych, zwłaszcza w krajach socjalistycznych, od warunków w jakich rośli ich ojcowie.

Człowiek dzisiejszy nie tylko wcześniej się rozwija, lecz i znacznie później niż dawniej starzeje. Tymczasem wysokiej klasy wyczynowców po trzydziestce jest niewielu, znacznie mniej niż jeszcze jakieś 15—10 lat temu. Czytelnicy pamiętają słynną lekkoatletyczną reprezentację Polski z czasów Krzyszkowiaka i Piątkowskiego, czy też znakomity zespół radziecki z tego okresu. To były piękne dni — wspomina niejeden kibic z łezką w oku. Taki Chromik, albo Foik, albo Ożóg, albo Lewandowski, albo Makomaski, albo Orywał... Biegali tyle lat, mieli wzloty i upadki. Dorośli widzowie, trzymając swoich potomków na kolanach, oklaskiwali tych samych herosów bieżni, którym bili brawa jeszcze na ławie szkolnej. Dziś mamy wprawdzie „długowiecznych" sportowców, jak Pawłowski czy Sidło, za granicą Boston czy Sajdhużin, lecz są to jednak wyjątki. Coraz rzadsze wyjątki.

Czy współczesny, coraz młodszy trzydziestolatek nie jest w stanie konkurować w sporcie z dwudziestolatkiem? Wbrew temu, co można by powiedzieć na podstawie moich poprzednich uwag — jest w stanie. Nawet więcej: jest w stanie zwyciężać go. Być może, nie tylko trzydziestolatek, lecz i czterdziestolatek. W każdym razie w wielu gałęziach sportu. Wskazuje na to przykład tylu asów, którzy nie pokonani wycofali się ze sportu, mając lat 35 i więcej. Jeśli nie zmogli ich przeciwnicy, to zatem co? Odpowiedź jest banalna. Ot, po prostu przestało im się chcieć trenować i walczyć. Przestało ich to bawić tak jak dawniej.

Sport wyczynowy będzie w przyszłości domeną ludzi wchodzących dopiero w życie, jeszcze nie obarczonych obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi... Będą uprawiać go bardziej masowo niż dziś. I będą częściej niż dziś wycofywać się zeń w pełni sił — dla innych ważniejszych spraw. Oczywiście zawsze znajdą się jacyś niezłomni weterani stadionów i oni zagarną najwięcej serc kibiców. Jak to byłoby pięknie, gdyby na Olimpiadzie w Monachium zwyciężyli Pawłowski, Oerter, Abebe czy Brumel, który znów trenuje!

RW

Kamena str. 10

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Aczkolwiek opublikowaliśmy już uprzednio wyniki konkursu na kamenowe tytuło-poezje, nie możemy odmówić Barbarze Siewierskiej, honorowej organizatorce oraz inicjatorce przedsięwzięcia, publikacji jej drugiego utworu z gatunku tytuło-poezji:

Nasze sprawy
to strzały przez ściane
to minuta myślenia
i odpowiedzi
Nasze sprawy
to stawka i życie
to czas bezrobocia pięćdziesiąt lat temu
i rejs po biografię
to Młoda Polska
Nasze sprawy
to pożegnania

Równie nowoczesny wiersz, aczkolwiek zaczerpnięty już wyłącznie z krynic własnej wyobraźni, składa Pani T. B. z Lublina:

Widziałam
ptaki postrzępionymi ramionami
znicestwiały
ciszę poranka
gałąź smutkowała
listkami w powietrzu
kamieniując Twój oddech
zieloną rosą
jak żal
jestei
miłowa obojętność.

Interesujący, choć bardziej tradycyjny warsztat poetycki prezentuje Pan K. L. z Bychawy, który donosi w liście do redakcji: *Napisałem już 36 wierszy o różnych tytułach, a więc chciałbym się zapytać, czy moje wiersze mogą figurować w tym czasopiśmie „Kamenie"? I oto na przypadek jeden z wierszy:*

OCZEKIWANA MIŁOŚĆ

W mojej młodości
Pragnę tylko miłości
Pragnę jakby zbawienia
Którym kołyszę z głębokiego
natchnienia

W podnieconej szczerości
Czekam w namiętności
Na gorące marzenia
Którymi kołyszę z głębokiego
natchnienia

W gigantycznym nastroju
Siedzę samotny w pokoju
Oczekuję miłości jak ociemnienia
Która się kołysze gdzieś z natchnienia

W oczekiwanej miłości
Odejdę od wszelkich przykrości
Odejdę od kojarzenia
Która się kołysze jak to natchnienia.

Proponujemy naszym stałym czytelnikom, aby zastanowili się, na czym polega nowoczesność dwu pierwszych utworów oraz tradycyjność ostatniego. Oczekujemy na listy w tej sprawie.

W kręgu Napoleona

Dokończenie ze str. 3

sprzeciwy. Pełen temperamentu, dumy osobistej i lekceważenia drugich, potrafił jako realista grać na ludzkich słabostkach. Dla pozyskania Francuzów — występował w roli miłośnika pokoju, zarazem boga wojny. Trudno szukać kresu przygód wojennych Napoleona, skoro o tym decydowała romantyczna emocja ryzykanta, znakomicie czującego się w świecie przygód i niebezpieczeństw.

Zrazu w światłym absolutyzmie upatrywał doskonałą syntezę autorytetu władzy z korzystnymi dla społeczeństwa reformami politycznymi i społecznymi. Ostatecznie w zupełnym odcięciu od mas, w straszliwym rozwinięciu żądzy władzy wszelki umiar zatracił w jego umyśle znamiona słuszności. Jako epigon światłego absolutyzmu nie miał nowych treści wychowawczych do przekazania. Nie zdołał też scementować dawnej i nowej arystokracji, na czym skorzystała demokracja, a przede wszystkim burżuazja. Powołała go do władzy, aby odwrócić się od niego, gdy ustawicznymi wojnami utrudniał jej wymiany handlowe.

Po upadku swym, Napoleon stał się w wyobraźni poetów drugim Prometeuszem, symbolem ludzkiego geniuszu, walczącego z przeznaczeniem czy też będącego igraszką historycznego determinizmu. Uznając konieczność rządów autorytatywnych w chwili gdy wrogowie

Kielackie osty i chłosty

Konsekwencja

Do młodzieży trzeba podchodzić umiejętnie — to wiadomo. Nieodpowiednie podejście może spowodować niejeden konflikt pokoleń. A któż potrafi lepiej wyczuć sytuację i zastosować odpowiednie metody pedagogiczne, jeśli nie nauczyciele? A zatem — dość teoretyzowania, czas mi zilustrować wszystko odpowiednim przykładem „z życia". Otóż zdarzyło się, że w pewnej kieleckiej szkole średniej, po jakiejś uroczystości z udziałem funduszów z Komitetu rodzicielskiego, jeden z profesorów uległ krańcowemu zamroczeniu. Organizm widać nie znosił alkoholu. Tak się w dodatku nieszczęsny wychowawca zaplątał, że wylądował w piwnicy owej uczelni. Wynieśli go stamtąd uczynni i współczujący wychowankowie i oddali rodzinie. Kiedy dowiedział się o tym dyrektor szkoły, nakazał zawiesić na drzwiach do piwnicy tabliczkę z kategorycznym napisem: „Młodzieży do piwnicy — wstęp wzbroniony"!!!

Sposób

Artyści — malarze zwykle przyczyniali właścicielom posesji sporo kłopotów. Ale aby rzecz ta nie została li tylko w literaturze, warto opisać sposób, jaki stosuje jeden z kieleckich malarzy wobec natrętnej administracji pewnej Spółdzielni Mieszkaniowej. Ponieważ monity w sprawie czynszu przynosiła, nie zapowiadając swojej wizyty, pewna młoda pracownica — artysta otwierał jej drzwi ubrany w strój biblijnego... Adama! Już trzy razy biedna kobieta wyruszała z ponagleniem i tyleż razy metoda poskutkowała! Spółdzielnia powinna posłać samego prezesa, który się takiego negliżu nie wstydzi, a malarz tłumaczy się, że najlepiej pracuje mu się właśnie nago. Oderwany od pracy, nie widzi powodu, by przywdziewać smoking!

Z życia duchowego

Ostatnio na Kielecczyźnie szerzy się dziwna moda picia staropolskiego(?) napoju w lokalach uspołecznionych. W Radomiu lokal („Zamylnianka") i w Starachowicach (lokal „Zacisze") w stylowych wnętrzach — „na ludowo" podaje się klientom kwas chlebowy z rodzynkami. Trunek to przedni i płynie nieźle. Nawet są już pono zwolennicy i niemal abonenci. Zaobserwowano jednak, że płyn ów najlepiej idzie w poniedziałki. Bo podobno idealnie leczy tzw. „kaca". A już myślałem, że będę z fanfarami donosił, że kielczanie piją kwas zamiast wódy. O, jam naiwny!

Ryszard Podlewski

Krzyżówka

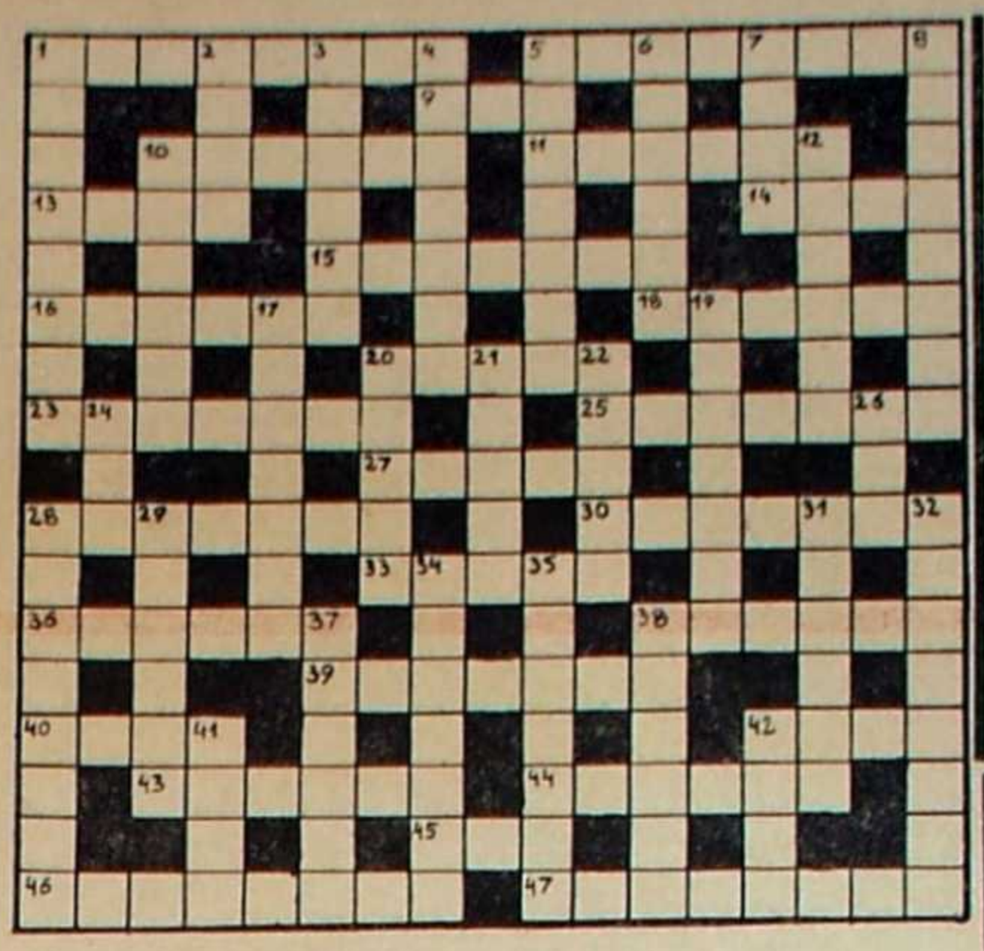

POZIOMO: 1. pisarz i burmistrz Lublina z XVI wieku, 5. zespół redagujący pismo, 9. konkurent esperanto, 10. stojak wystawowy, 11. siedziba władz miejskich, 13. wulkan na Sycylii, 14. zapora, 15. wielka rzeka afrykańska, 16. papier zamiast malowania, 18. imię autora „Wujaszka Wani", 20. spowodował wojnę trojańską, 23. romantyczna miniatura instrumentalna, 25. maszyna wieloczynnościowa, 27. imię wybitnej polskiej wiolinistki, profesora Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, 28. zbieg sprzecznych okoliczności lub interesów, 30. stolica państwa europejskiego, 33. wspomnienia więzienne P. Gojawiczyńskiej, 36. zastępuje salę teatralną na wsi, 38. starożytne państwo w Mezopotamii, 39. miasto wojewódzkie, 40. nad wiejską kuchnią, 42. góry w Ameryce, 43. mocarz, 44. jedna z republik Jugosławii, 45. zwierzę domowe, 46. miasto zniszczone przez bombę atomową, 47. mityczna szybkobiegaczka.

PIONOWO: 1. podaje ton, 2. stopień, ocena, 3. bagaż, 4. średniowieczny kolorowy pantofelek, 5. parlament państw Półwyspu Pirenejskiego, 6. dawny instrument szarpany, 7. nie to ładne, co ładne, tylko co się komu podoba, 8. jeden z tytułu książki Nałkowskiej, 10. wiązka zboża, 12. pracownicy statku, 17. masło lub olej, 19. bogini losu ludzkiego, 20. po zębie lub drzewie, 21. zdrowy korzeń, 22. podziałka mapy, 24. dwadzieścia jeden, 26. imię autora „Dysku olimpijskiego", 28. ptak Szczepanika, 29. kolorowa wypustka na spodniach mundurowych, 31. Platon napisał Sokratesa, 32. prezencja, wygląd zewnętrzny, 34. Czerniejówka i Czechówka, 35. CCC, 37. flota wojenna, siła zbrojna, 38. uszkodzenie maszyny, 41. miasto włoskie z krzywą wieżą, 42. opera Verdiego.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

Teatr ze Skopje

Dokończenie ze str. 8

oklejenie ściany gazetami nie jest odkryciem (strasznie modne stają się gazety w teatrze, że przypomnę choćby szczecińskie „Wyzwolenie"), ale którą odświeżono wmontowaniem w gazetościanę czarnych drzwi turnikietowych bez szyb oraz ustawieniem paru krzeseł z oparciami zdobnymi w portrety właścicieli, przy czym krzesła owe ulegają w pewnych momentach lewitacji niczym na seansie spirytystycznym, co pasuje jak najbardziej do treści „Nieboszczyka". U góry — bez żenady odsłonięta wszelka maszyneria teatralna, jak to w teatrze awangardowym. Kostiumy męskie pomysłowo przepołowione w kolorze i deseniu, damskie — szczyt elegancji. Twarze — które trzeba, pobielono. Autorami tej wymownej i utrzymanej w stylu scenografii są: Günter Kube i Ljubisza Georgievski (dekoracje) oraz Rada Petrova-Malkicz (kostiumy). Wyreżyserowała sztukę Ljubisza Georgievski.

A oto nazwiska aktorów grających w tragifrasie: Kiro Kortoszev, Todorka Kondova, Dimitar Geszovski, Krum Stojanov, Toma Vidov, Sziszman Angelovski, Toma Molovski, Jon Isaja, Mara Isaja, Blagoja Crvenkov.

Tematem sztuki — kłopotliwy powrót domniemanego „nieboszczyka". Temat ten, rodzący moc różnorodnych problemów, nieraz fascynował ludzi pióra. Przyznam się nieskromnie, że sama opublikowałam w okresie międzywojennym opowiadanie (pt. „Kazus"), w którym żołnierz, wykreślony ze spisów ludności, wraca do rodzinnej wsi w dwa lata po skończeniu wojny japońskiej. I całkiem niedawno w Budapeszcie widziałam sztukę, w której „odżył" jeden z „zabitych" na ostatniej wojnie. Ten, jak u Nuśicia, decyduje się na samobójstwo. Problem tak zaskakujących powrotów jest szczególnie aktualny w dobie skrzynki poszukiwania rodzin. Zresztą chyba znacznie szerzej jeszcze można spojrzeć na sprawę walki o „miejsce na ziemi", przebiegłej i bezwzględnej. Jednak, by poskromić ją w jakiejś mierze, trzeba umiejscowić jej obraz w konkretnej przestrzeni i czasie, w konkretnej koniunkturze socjalnej. Tak też uczynił reżyser „Nieboszczyka" w swej interpretacji, potęgującej i uwspółcześniającej satyrę pierwowzoru.

Aktorzy macedońscy przyswoili już sobie znakomicie styl gry w nowoczesnej tragifarsie, opanowując trudność, z którą niejeden jeszcze się u nas boryka. Świetna była perwersyjna w swej kobiecej „nieporadności" Rina, żona „nieboszczyka", bardzo dobry — wykrętny jego zięć, profesor uniwersytetu, podszywający się pod cudzą pracę naukową, homerycki śmiech budził na widowni całą swą postawą minister, który wjeżdża na scenę na dziecinnym rowerku. A już brak po prostu słów na pochwałę Kruma Stojanova, tworzącego złowrogo groteskową postać aferzysty, spadkobiercy nieszczęsnego „nieboszczyka".

Na wołowej skórze nie spisać wszystkich zalet tego spektaklu — wirtuozowsko-kontrastowych przejść w tonie i geście, ugrupowań sytuacyjnych niczym w grafice Daumiera itd., itd. Słowem — dzięki drogim gościom, artystom macedońskim, i dzięki dyrekcji Teatru Osterwy, która umożliwiła nam zapoznanie się z ich sztuką.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Rewolucji spiskowali z zagranicą, a konflikt zbrojny był możliwy po zaborze Belgii i Nadrenii, Lefebvre słusznie zauważył, że dyktatura wojskowa nie wymagała ustanowienia monarchii dziedzicznej i arystokracji rodowej, a granic naturalnych można było bronić bez wywoływania wojen ich przekraczaniem. Naśladowanie Cezara uznał za anachronizm. Z działalności Bonapartego utrzymał się we Francji ustrój państwa burżuazyjnego, w Europie zaś zmiany granic państwowych i reformy ustrojowe przyspieszyły dojrzewanie narodów. Blokadą kontynentalną Napoleon osłonił początki kapitalizmu w Europie zachodniej. Jego wpływ miał wydać owoce tam, gdzie dążenia dyktatora były zgodne z prądami epoki.

Rozwój kultu Napoleona Lefebvre tłumaczy faktem, iż cesarz Francuzów był człowiekiem stulecia. Ale kwalifikację tę opatrzył szeregiem wymownych zastrzeżeń: *Między jego osobistymi dążeniami i tym, co jest trwałego w jego dziele, istnieje sprzeczność. Stał się coraz bardziej wrogiem Rewolucji do tego stopnia, że gdyby miał na to czas, skończyłby na częściowym odrzuceniu równości obywatelskiej. Przecie stał się w wyobraźni ludowej bohaterem Rewolucji. Marzył o imperium, mimo to pozostał dla Francuzów obrońcą „granic naturalnych", podczas gdy europejscy liberałowie przeciwstawiali go królom Świętego Przymierza jako obrońcę narodowości. Ustanowił najsurowszy despotyzm, a w jego imieniu zwalczano konstytucyjnych Burbonów. Był bożyszczem romantyzmu, podczas gdy dzięki metodom myślenia oraz zamiłowaniom literackim i artystycznym był czystym klasykiem... Jedyni romantycy nie mylili się całkowicie, gdyż klasykiem był tylko ze względu na wykształcenie i rodzaj umysłowości... Przynajmniej w przemijającym zapale i zamęcie młodości ludzi zawsze nawiedzają romantyczne sny o potędze.*

Zdaniem historyka holenderskiego P. Geyla, sprzeczność między zamiarami i osiągnięciami występowała jaskrawo na odcinku budzenia świadomości narodowej, do czego Napoleon przyczynił się głównie przez ucisk sojuszników i państw lennych, podporządkowanych interesom francuskim.

Czasy Księstwa Warszawskiego jego pierwszy dziejopis, Fryderyk Skarbek, określił mianem „zaszczytnej epoki" w życiu narodu. Podkreślał ofiarność na rzecz przywrócenia ojczyzny, w czym liczono na poparcie Napoleona. *Ocucone życie publiczne Polaków* — świadczy Skarbek — *odznaczyło się w tej epoce poświęceniem bez granic, wytrwałością w niedoli i wdzięcznością nad miarę zasług tego, który jej był przedmiotem* (tj Napoleona). *Owcześni obywatele okazali trudną, a konieczną w życiu narodu cnotę...: umieć cierpieć teraz, ażeby lepiej było potem. Nic dla siebie, wszystko dla następców, oto było ich godło.*

Utworzenie Księstwa podważyło podstawową tezę traktatu rozbiorowego z r. 1797, wykreślającą na zawsze nazwę Polaka. Armię Ks. Warszawskiego urzędowo zwano Wojskiem Polskim, które zachowało sztandary z białym orłem, polskie odznaczenia, białą kokardę itd. Oprócz wojskowości odbudowano administrację państwa, którego granice zachodnie Hugo Kołłątaj w interesujących „Uwagach nad teraźniejszym położeniem..." (1808), wskazywał na Odrze. Projekty modernizacji instytucji państwowych szły w parze z odbudową szkolnictwa. Przygotowano otwarcie uniwersytetu stołecznego powołując w r. 1808 Szkołę Prawa, do której trzy lata później dołączono Szkołę Nauk Administracyjnych. Z końcem 1809 r. utworzono Wydział Nauk Lekarskich. W tymże czasie spolszczono dawną Szkołę Główną czyli Akademię Krakowską.

Pracowano nad odbudową państwa zgodnie z wezwaniem ideologa polskich radykałów H. Kołłątaja: *Okażmy naprzód na tej małej części naszej ziemi, że jesteśmy godni być wielkim narodem.* Sformułowanie takie w ówczesnych warunkach miało pobudzić umysły tych, którzy ugięli się pod wrażeniem rozbiorowej katastrofy, stanowiło więc bodziec do podjęcia wytrwałej pracy nad odbudową kraju ojczystego. W przeciągu krótkiego sześciolecia zdziałano wiele. Wkroczono na drogę przemian społeczno-gospodarczych, prowadzących od feudalizmu do kapitalizmu. Zniesiono poddaństwo chłopów, choć dekretem grudniowym 1807 r. pozbawiono ich ziemi, przyznano mieszczanom prawa polityczne, choć w r. 1808 na lat dziesięć odroczono masom żydowskim możność korzystania z nich. Zmodernizowanie aparatu administracyjnego szło w parze z wprowadzeniem burżuazyjnego Kodeksu Napoleona, mającego ujednolicić prawodawstwo krajowe. Za przyjęciem go opowiedział się również H. Kołłątaj, wyjaśniając rodakom, iż *gdy potrzeby, prawa i obowiązki ludów są prawie te same, sprawiedliwość powinna być jedna dla wszystkich.* Ale szlachtę, która korygując nadaną przez Napoleona konstytucję 22 lipca 1807, zdołała w wprowadzających ją w życie dekretach utrwalić swą przewagą klasową, drażniła długo wprowadzona w kodeksie cywilnym zasada równości obywateli. Poddany pod kontrolę rządową episkopat nie chciał się pogodzić z utratą tradycyjnych prerogatyw, zapewniających przemożny wpływ polityczny — zwalczał świeckie prawo małżeńskie wraz z urzędami stanu cywilnego, prowadził z rządem spory o prymat w państwie i wolność podatkową dóbr kościelnych. Pod wpływem bliskiego Targowicy księcia pruskiego arcybiskupa Raczyńskiego episkopat stanowił na ogół ośrodek opozycji konserwatywnej.

Za Księstwa Warszawskiego utrwaliła się wśród znacznego kręgu Polaków legenda napoleońska. Już Józef Wybicki w r. 1797 w „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech" zaznaczył związek zachodzący między późniejszym twórcą Księstwa i narodem polskim: *Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy.* Wskazanie czynu zbrojnego, jako środka prowadzącego do odzyskania wolności, zasadniczo uznać należy za pozytywną stronę legendy. Jej wydźwięk negatywny wystąpił w latach 1831 i 1863, gdy łudzono się pomocą mocarstw zachodnich, przede wszystkim Francji.

Wielostronnej oceny interesującego nas problemu nie można ograniczać do wyjętego z toku argumentów M. Handelsmana oświetlenia stanowiska Napoleona: *Nic nam nie dał prócz jednego: niezrównanego żywota żołnierskiego z wiarą, że to dla Polski.* Twórca szkoły historycznej powiedział jeszcze wnikliwiej: *Nie za to naród polski sercem wspominał cesarza, że pragnął on rzekomo odbudowania Polski, lecz za to przede wszystkim, że w szarym i smutnym pasmie dni, które składają się na dzieje nasze w w. XIX, czasy cesarstwa są świetlaną przerwą, jasnym wspomnieniem własnego bohaterstwa.* Reformy zaś strukturalne doby Ks. Warszawskiego nie tylko zapoczątkowały przewrót w stosunkach społeczno-prawnych, ale związały *społeczeństwo polskie lat późniejszych z okresem burzy i przewrotu, haseł Rewolucji i norm cesarstwa.*

Słowa A. Mickiewicza: *Napoleon jest na drodze prostej postępu* stają się zrozumiałe wtedy, gdy odniesiemy je do kręgu jego działalności konsolidującej zdobycze nowej ery. W podobnym sensie wypowiedział się o roli Napoleona historyk radziecki, E. Tarle: *Huragan, który rozpętała ręka Napoleona... zburzył i starł z powierzchni ziemi wiele... przeżytków..., przyspieszył tę nieuniknioną likwidację. Śmiercionośna sztuka, w której był niedoścignionym mistrzem, ułatwiła mu tę misję dziejową.*

Podczas kongresu wiedeńskiego rozpatrywanie sprawy polskiej było następstwem pozostawionego przez dobę napoleońską, realnie istniejącego tworu politycznego, przyczyniającego się do równowagi politycznej Europy — Księstwa Warszawskiego. Mickiewicz, dostrzegł jego potencjalne wartości, gdy określił jego utworzenie jako „pewnego rodzaju przewrót" na północy, spowodowany realizacją polskich dążeń. *„Księstwo* — głosił Mickiewicz — *liczyło ledwie 3*) miliony ludności, ale miało opiekę Napoleona, ważyło na szali spraw europejskich całym ogromem przeszłości i przyszłości Polski.*

Juliusz Willaume

* W r. 1807 ok. 2,8, od października 1809 — 4,33 mln. — J. W.

Z rozmów zamojskich

W ZAMOŚCIU, przy ul. Lubelskiej 65, stoi zespół szkół zawodowych, obejmujących Zasadniczą Szkołę Zawodową, Szkołę Rzemiosł Budowlanych i Technikum Budowlane. Na obszarze 5 ha rozłożyły się przestronne budynki administracyjno-dydaktyczne, warsztaty szkolne, internat, hala gimnastyczna, domy nauczycielskie. Zespół oddano do użytku dwa lata temu, lecz gdzie niegdzie tynk z murów odpada, a na dachu kilku chłopców coś tam reperuje.

— Tak — mówi dyrektor ośrodka szkolnego, mgr inż. Eugeniusz Cybulski — to nowe budynki, ale już musimy przeprowadzać drobne remonty. Wykańczano je w zimie, centralne ogrzewanie nie było jeszcze czynne, a przemarznięte ściany niezbyt chętnie przyjmowały farbę i zaprawę. Ale damy sobie z tym radę, ostatecznie jesteśmy szkołą budowlaną, a nasza młodzież jest bardzo ofiarna i pracowita. Wystarczy powiedzieć, że wartość prac produkcyjnych, wykonanych przez szkołę w roku ubiegłym, wyniosła 1,3 mln zł, a w bieżącym planujemy 1,5 mln zł.

— Z jakich rejonów powiatu pochodzą wasi uczniowie?

— Głównie ze wsi, ponad 95 proc. Jest to na ogół młodzież, która z takich czy innych względów nie dostała się do szkół ogólnokształcących czy zawodowych o większej atrakcyjności — większej w odczuciu społecznym, co zresztą wydaje mi się grubym nieporozumieniem. W bieżącym roku pośleemy w świat pierwszych absolwentów Technikum Budowlanego ze specjalnością budownictwa wiejskiego. Obecnie kształcimy 376 uczniów, z czego 486 w szkole zasadniczej. Od początku istnienia szkoły wyszło z niej 1128 murarzy, hydraulików, stolarzy, malarzy i cieśli.

— Czy miasto i powiat zamojski są w stanie zapewnić pracę wszystkim absolwentom?

— Tak, ale, jak dotychczas, młodzież emigruje do innych województw, ponieważ tam ma realne możliwości dalszej nauki. Trzeba tu wyjaśnić, że dopiero od września uruchamiamy pierwsze klasy Technikum Budowlanego, co zapewne zahamuje ten odpływ.

— Być może. Faktem jest jednak, że młodzi ludzie niechętnie powracają do rodzinnych wsi czy osiedli, a na Zamojszczyźnie, poza stolicą powiatu, nie ma większych ośrodków miejskich... Które województwa najczęściej reflektują na absolwentów szkoły?

— Poza lubelskim — katowickie, wrocławskie i gdańskie.

— W jaki sposób kontaktujecie się z przedsiębiorstwami tych województw?

— Nie my z nimi, ale one z nami. Nasi absolwenci, pracujący w Chorzowie, Brzegu czy Gdańsku, są najlepszą reklamą szkoły. Corocznie przyjeżdżają do Zamościa przedstawiciele przedsiębiorstw budowlanych, którzy na miejscu podpisują umowy z absolwentami.

— Szkoła nosi imię „25-lecia PRL"...

— Tak, otrzymała je w styczniu 1967 r., kiedy tow. W. Kozdra dokonał otwarcia obiektu. W październiku 1968 r. zorganizowaliśmy stałą wystawę „Śladami PRL w powiecie zamojskim". Gromadzi ona fotokopie dokumentów i zdjęć ze zbiorów sekretarza Prezydium MRN, Suchory, i z Komitetu Centralnego partii. Ekspozycję zaprojektowali plastycy zamojscy, a scenariusz wystawy opracował mgr Kazimierz Kowalczyk. Nasi uczniowie także pracowali przy urządzeniu tej Izby Pamiątek, a obecnie wraz z uczniami innych szkół odbywają tam zajęcia z wychowania obywatelskiego.

— Na koniec pytanie bardziej osobiste: kiedy i gdzie ukończył Pan studia i od jak dawna jest Pan dyrektorem szkoły, o której mówią, że pod względem organizacji i sprawności nauczania nie ma zbyt wielu konkurentek?

— Dyplom magistra inżyniera Wydziału Komunikacji Politechniki Warszawskiej otrzymałem w 1959 r., a wkrótce potem ciekawą pracę i zameldowanie na stałe w stolicy. Ale ciągnęło mnie do Zamojszczyzny, gdzie się urodziłem i wychowałem. Opuściliśmy więc z żoną, rodowitą warszawianką, wielkomiejskie mury. W szkole pracuję od 1960 r., a rok temu zostałem jej dyrektorem.

— Czy teraz, na odwrót, nie marzy się Panu Warszawa?

— Mnie? Nie.

Rozmawiał:
Tadeusz Graba

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.

Zam. 2327 15.VI.69 F-4

MINUTA MYŚLENIA

Mebel abstraktem

OD PARU miesięcy znajduję się w sytuacji, że muszę kupić biurko. Cóż, zdarza się, że od czasu do czasu coś trzeba kupić, wolno więc i felietoniście, który w ten sposób chciałby podnieść jakość swych felietonów, a nie pisać ich na kolanie. Jak obłąkany szpieg penetrowałem co dnia trzy meblarskie sklepy w Lublinie: CPLIA, przy ul. Szopena i przy ul. Hanki Sawickiej. Chodziło mi o biurko ciemne, boć przecież i pewne upodobania też wolno klientowi posiadać, a do mojego ponurego charakteru jasne by nie pasowało. Ciągle biurka nie było. Nareszcie pewnego dnia za sprawą życzliwego kolegi doszła do mnie wiadomość: jest!!! Stawiam trzy wykrzykniki, bo tyle było biurek w sklepie CPLIA, co sam naocznie stwierdziłem. Pobiegłem więc do domu, dla pośpiechu nie korzystając ze środków komunikacji miejskiej, zmobilizować gotówkę.

Z banknotami w kieszeni i nadzieją w sercu wkroczyłem do sklepu pewien rychłego zrealizowania marzenia. Niestety. Okazało się, że biurka są już sprzedane. Osłupiałem do tego stopnia, że sam mogłem posłużyć za materiał do wyprodukowania biurka w kolorze najczarniejszym. Więc aż takie jest zapotrzebowanie na ów przecież nie dewizowy artykuł? I aż takie nienadążanie produkcji za potrzebami rynku?

Nie jestem ekonomistą, pianistą, somnambulikiem, telepatą, ani czytelnikiem współczesnej poezji, więc tego faktu nie mogę pojąć. Z wielu artykułów i informacji w prasie przychodzi do mnie wiadomość o istnieniu wyspecjalizowanych komórek zajmujących się badaniem potrzeb spożycia niemal przez lupę (ileż to asortymentów podaje się przy towarach, które wcale owej astronomicznej liczby odmian nie wymagają), a tego braku się nie widzi. Słona nie przymieił. Czyż to parcie zapotrzebowania na biurka — skoro znikają niemal równocześnie z pojawieniem się w sprzedaży — nie dochodzi do świadomości producentów, czy instancji ustalających „profil" produkcji? Chyba nie jest tu wyjaśnieniem sprawy potrzeba oszczędności drzewa, bo przecież wszelakich kozetek, barków, przystawek i puffów ze sztucznego tworzywa się jeszcze nie produkuje, a rotacja ich w handlu jest co najmniej dziesięćkroć wolniejsza. I denerwuje również fakt, że właściwie nie ma komu tych uwag sprezentować. Wyrozumiały redaktor przyjmie, szczer złoży, korektorka przeczyta, sprzątaczka po tym wszystkim zetrze kurz na redakcyjnym biurku i sprawa skończona. Ech... A może jest to jedna z form walki z biurokracją? Ba, gotów jestem od dziś pisać na podłodze, jeśliby fakt nieprzyznania mi mebla, nad którym wylewam felietonową łzę miał choćby w najmniejszym stopniu wpłynąć na sprawność załatwiania mnie jako petenta w urzędzie. A może to właśnie przez jakiś urząd nie dochodzi do skutku zaspokojenie tej — jak się okazuje — powszechnie odczuwanej potrzeby? Już mi się wszystko pokręciło. Wybacz więc, Drogi Czytelniku, że zamiast felietonu napisałem abstrakcyjny monolog wewnętrzny.

Ijon

BIG-BEAT

Skromność pilnie poszukiwana

PANIE Redaktorze! Może ten i ów się na mnie obrazi, ale trudno mi nie poruszyć tej sprawy, chociaż będę unikał nazwisk. Zainteresowani łatwo się zorientują, o co chodzi, niezainteresowani orientować się nie muszą. Dla nich pozostanie problem. A problemem jest... skromność, a właściwie brak takowej.

Wpadła mi w ręce jednodniówka pt. „Nasza szkoła techniczna", poświęcona jubileuszowi pewnego liceum i technikum na Lubelszczyźnie. Jako wydawca figuruje Komitet Organizacyjny Zjazdu Absolwentów. W składzie komitetu redakcyjnego jest sześć nazwisk, wśród nich nazwisko redaktora naczelnego jednodniówki notabene absolwenta tej szkoły. Nazwę go umownie Iksiński.

Na str. 12 znajduje zdjęcie Iksińskiego i szkic poświęcony jego twórczości pt „...Od szkolnej tokarki po literackie laury". Autorem szkicu jest miejscowy nauczyciel, który również pisuje wiersze.

Z pracy tej dowiaduję się, że Iksiński „powitał słońce życia" (co za metafora!) tego a tego dnia. „Wprawdzie charakter szkoły daleki był od humanistycznych kierunków kształcenia, to jednak pod bystrym i rozumnym okiem wychowawców młody chłopiec rozwinął swój talent i zaczął tworzyć". Zadebiutował w 1958 r. opowiadaniem w „Życiu Lubelskim", a potem publikował swoje wiersze w licznych czasopismach i dziennikach. Utwory Iksińskiego — jak stwierdza autor artykułu — „zawierają potoczystą frazę i bogatą, komunikatywną metaforykę. Oto na chybił trafił wybrane przykłady: „słodycz zieleni", „księżyca żółty balonik", „brama nocy", „liryczne zaułki", „warkocz światła", „okrągła chwila" itp.

Artykuł kończy się stwierdzeniem: „Wszystko to się stało, między innymi, dzięki umiejętnej pracy profesorów Technikum (...), którzy potrafili rozwinąć drzemiący w chłopcu talent literacki. Dlatego z murów szkoły przed laty wyfrunął na skrzydłach Pegaza poeta, który dziś obdarza nas poezją. Wiersze poety zamieszczamy obok".

Rzeczywiście obok znajdujemy pięć utworów poetyckich. Nie chcę mówić o ich wartości literackiej, bo nie o to mi w tym wypadku chodzi. Mam jednak pytanie: jak redaktor naczelny jednodniówki może się zgodzić na to, aby w jego piśmie ukazał się na jego cześć taki pean? Czy nie dostrzega, że po prostu naraża się na śmieszność? „Słodycz zieleni", „brama nocy", „liryczne zaułki" — to ma być ta „potoczysta fraza i bogata, komunikatywna metaforyka"? Jeśli chce się rzeczywiście pokazać „bogatą metaforykę", nie można przykładów wybierać „na chybił trafił" bo wówczas łatwo trafić do różnych „łączek", prowadzonych w poszczególnych pismach. No i bądźmy ostrożni z tym „wyfruwaniem na skrzydłach Pegaza", bo Pegaz może się okazać zwykłym kucykiem, pozbawionym skrzydeł. Nie twierdzę, że w danym wypadku tak jest istotnie, gdyby jednak rzecz oceniać na podstawie przytoczonych wyżej „metafor", mógłbym być blisko prawdy. A przecież w ten sposób uczyniłbym krzywdę Iksińskiemu, który ma w swoim dorobku i utwory bardziej udane. Nie dajmy się jednak zwariować! I nie oszukujmy młodzieży, która gotowa uwierzyć, że z jej szkoły wyszedł poeta, co najmniej równy Przybosiowi!

Dobrze rozumiem, że każde miasto ma swoje ambicje. Również i ambicje literackie. Chodzi mi jednak o to, aby zawsze zachować rozsądne proporcje, nie wpadać w zarozumialstwo i nie dostarczać tematu felietonistom, którzy z natury rzeczy bywają złośliwi...

Chociaż... Przykłady płyną z góry, aczkolwiek proporcje są zupełnie inne. Niemniej zdziwiło mnie, kiedy w bieżącym roku na trzeciej stronie jednego z ogólnopolskich czasopism dwukrotnie ukazały się recenzje (ze zdjęciem) z książek pewnego pisarza. Zdziwiło mnie, ponieważ ów pisarz jest redaktorem naczelnym tego czasopisma. Eksponowanie własnej osoby w piśmie przez siebie redagowanym musi budzić zażenowanie, niezależnie od wartości książek, będących przedmiotem recenzji.

Dobrze, że Pan Redaktorze, nie wydaje książek i później nie zamieszcza na ich temat recenzji.

Przepuścił Pan to ostatnie zdanie? Proszę się zastanowić, czy jest pan zupełnie bez winy?

Smętnie dłoń ściskam.

(Niekiedy skromny)

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Niegrzeczne maszyny

OD czasu do czasu, wczesnym rankiem, budzi mnie dzwonek telefonu. Zanim jeszcze zdążę powiedzieć: „Słucham?" — energiczny głos męski wykrzykuje w słuchawce:

— Panie Jackowski, do cholery, jeszcze pan nie wyjechał wozem?

Nigdy nie nazywałem się Jackowski, nigdy nie znałem nikogo o takim nazwisku. Ponadto nie posiadam żadnego pojazdu. Tym bardziej więc nie wiem, dokąd miałbym nim pojechać.

Co prawda domyślam się, dlaczego nie znany mi pan Jackowski spóźnia się od czasu do czasu. Natomiast zupełnie znów nie wiem, dlaczego z tego powodu ja jestem obrzucany inwektywami.

Być może po to, bym w sposób dość zgrabny mógł rozpocząć ten felieton. Felieton, w którym pragnę pokazać, jak bardzo rozwój techniki wzmaga potrzebę zwykłej grzeczności. Grzeczności, która prawdopodobnie jest tylko zewnętrznym, powierzchownym objawem kultury — może nawet czasem nieco fałszywym — ale przecież jakże niezbędnym.

Wróćmy do telefonu jeszcze, by później zająć się maszynami bardziej groźnymi.

Kiedy kilka lat temu zainstalowano mi to urządzenie — skądinąd bardzo ułatwiające życie — szybko pojąłem słuszność definicji, która powiada, iż „telefon to taka maszyna, dzięki której do twojego mieszkania wchodzą ludzie, jakich w normalnych warunkach nigdy by się nie wpuściło..."

I rzeczywiście. Nie pukają, nie pytają czy można, nie przedstawiają się, nie powiedzą dzień dobry, dziękuję, ani przepraszam, tylko od razu: „Dawaj pan Walczaka". Albo i gorzej.

Chamusiowatość telefoniczna panoszy się niepomiernie. Maszyna ta ustokrotnia możliwości, rzekłbym, „naturalne"; ale rodzi także nowe. Fakt, iż rozmawia się bez konfrontacji „twarzą w twarz", jakoś ubezpiecza. A ubezpieczając — gburowatość wyzwala.

Wina to techniki — czy ludzi?

Mam sąsiada, który lubi głośno śpiewać, co w nowym budownictwie bardzo jest dokuczliwe. No i na pewno niegrzeczne. Jednakże po godzinie sąsiad ów chrypnie i wkrótce się wycisza. Drugi sąsiad lubi także głośno. Ale korzysta z osiągnięć techniki — jego telewizor przez osiem godzin dziennie ryczy bez żadnego zmęczenia. Nawet oddychać nie potrzebuje.

Technika ma wspaniałe osiągnięcia. Podziwiam piękno i subtelność nowoczesnych maszyn. Jednak w rękach człowieka, który z subtelnością nigdy nic nie miał wspólnego, staje się wzmacniaczem — jakiego by tu użyć grzecznego słowa? — chyba wzmacniaczem chamstwa, niestety.

Gbur „na piechotę" jest zjawiskiem dość nieprzyjemnym. Nadeptuje na pięty podczas ulicznych spacerów, roztrąca łokciami. Jednak możliwości jego są ograniczone.

Gbur dysponujący samochodem to już zjawisko zupełnie innego rodzaju.

Jeśli ktoś nie ustąpi staruszce siedzącego miejsca w poczekalni dentysty — staruszka będzie zmęczona. Jaka będzie staruszka, jeśli na jezdni nie ustąpi jej miejsca gbur, siedzący za kierownicą?

Gburowatość gbura narasta proporcjonalnie do ilości koni mechanicznych, co łatwo zauważyć na szosach i ulicach naszych miast. Z jednym — i to dość zasadniczym — wyjątkiem od tej reguły. Wyjątkiem tym są motocykliści. Motocykle, te skromne przecież — jako osiągnięcie techniki — pojazdy, w przedziwny sposób wyzwalają u swych właścicieli najniższe instynkty, co inaczej zresztą można by nazwać „dobrym samopoczuciem".

Motocykl dla gbura to pojazd jak by wymarzony — przede wszystkim dzięki swej hałaśliwości. Gbur lubi zwracać na siebie uwagę. Otóż wystarczy tylko na kilka minut uruchomić motor, by „zafascynować" wszystkie sąsiednie bloki i kamienice.

Gbur lubi, kiedy mu się wymyśla — daje mu to szansę większej jeszcze gburowatości. Cóż lepszego do takiego celu, niż motocykl?

Stwierdziliśmy, iż zwykła niegrzeczność, normalnie w możliwościach swych ograniczona, radykalnie się wzmacnia dzięki osiągnięciom techniki. Trzeba więc człowieka bardziej do nowych maszyn, do nowych możliwości — dostosować. I wołam o to — bo właściwie grzeczności nie uczy nikt. A bez niej życie wśród miliona maszyn staje się wręcz niemożliwe.

Ale dostosowanie człowieka do maszyn to wcale nie szybki i nie prosty sposób. Na szczęście jednak jest jeszcze inny — dostosować maszyny do człowieka. Nie zawsze jest to możliwe. Realne jednak tam, gdzie gburowatość wyraża się decybelami.

I tu motocykl jest przykładem wyrazistym, świadczącym o gburowatości nie tylko użytkowników, ale i producentów.

Jak dalej tak pójdzie z tym dostosowaniem maszyny do człowieka, to boję się, iż w przyszłości będziemy mieć kinące roboty i automaty, popijające alkohol.

Choć „automaty" już mamy, co prawda w cudzysłowie. Nie wiadomo bowiem dlaczego — ale tak nazwano kasowniki do biletów, zainstalowane niedawno w lubelskich autobusach. Są to opasłe maszyny, których uruchomienie wymaga użycia poważnej siły fizycznej. Przy „produkcji" wydają potężny dźwięk, wstrząsający całym pojazdem. Produktem zaś jest blado — albo i wcale nie — odbity numerek.

Zatem zła nie tylko w człowieku trzeba się dopatrywać, ale i w maszynie? Może jednak raczej w człowieku, który taką maszynę stworzył.

Zapewne, to wszystko, co tutaj napisałem, to tylko margines wielkiego problemu „Kultura i Technika". Ale margines istotny. Coraz istotniejszy — w miarę, jak maszyny coraz bardziej zagęszczają nasze kontakty z innymi ludźmi. Często — kontakty tylko powierzchowne. Ale tym większa właśnie rola zwykłej grzeczności, zwykłego taktu. Grzeczności trzeba się uczyć, grzeczności trzeba uczyć. I to niekoniecznie czekając, aż każdy zgłębi dzieła Tołstoja, tajniki cybernetyki i współczesne kierunki filozofii.

JaD

Odpowiedzi redakcji

F. B. w Krakowie. Istnieje przed Panem optymistyczna — naszym zdaniem — perspektywa, niekoniecznie z miejsca publikacyjna na łamach „Kameny", ale w każdym razie perspektywa pisania rzetelnej poezji. Potrafi Pan ujmować rzecz w syntetyczne słowo, tak iż język staje się nie tylko umownym znakiem rzeczy, lecz również jej niejako materialnym ekwiwalentem. Tak samo w warstwie ogólniejszej refleksji, budowania znaczeń humanistycznych, widać sprawność w posługiwaniu się tworzywem słownym. Być może opublikujemy któryś z nadesłanych tekstów. Czy to byłby debiut? Jedno tylko: „na ówrocie" — co to znaczy? Może błąd maszynowy?

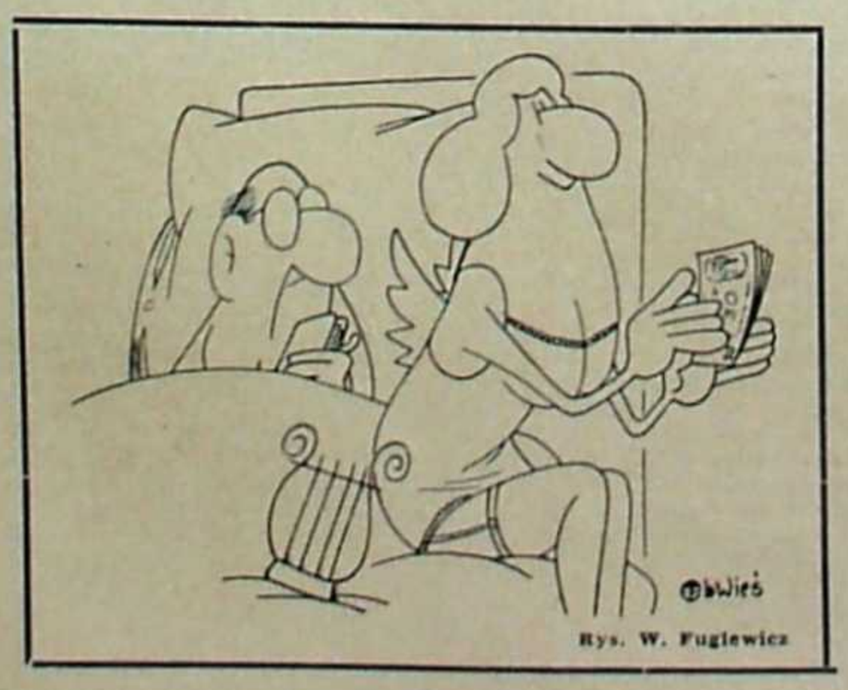

Rys. W. Fuglewicz

R. P. w Krakowie. Dosyć udane są Pańskie wiersze satyryczne (głównie w zakresie językowego humoru), lecz szczególnie podobała nam się humoreska prozą. Trochę nas tylko martwi, że tematy zbyt już wyeksploatowane: ankietomania, remanentomania, biurokracja, dystrybucja etc. Bardziej to wszystko pasuje do „Karuzeli". Zastanawiamy się nad możliwością opublikowania „Niespełnionych marzeń" jako miniaturki krytycznej.

J. K. Białymstoku. Według Pana — nie docenililiśmy rozlicznych walorów, jakie rzekomo posiada Pańska poezja. Nie jesteśmy skłonni zmienić zdania, aczkolwiek bynajmniej nie wydaje nam się, że „Kamena" posiada monopol na wiedzę o tym, jak powinna wyglądać dobra współczesna poezja. Kryteria wartościowania literatury, szczególnie nowo powstającej o ambicjach nowatorskich, to jest bardzo trudna sprawa. Radzimy zatem „sprawdzić" się pozytywnie w innych pismach. Jeśli Pan tego dokona — nasza klęska, a Pańskie zwycięstwo. Taką porażkę przyjdzie nam znieść z lekkim sercem, chodzi przecież nie o to, by kogoś zniechęcić do tworzenia, lecz by prawdziwa poezja święciła w końcu sukcesy.

B. S. w Mielcu. Skoro poprzednie wiersze nie podobały się redakcji, więc raczej bezcelowe byłoby natychmiastowe przesyłanie następnych. Pozostaje próbować szczęścia w innych czasopismach, albo w „Kamenie" z rok, dwa, gdy uzna Pan, że istotnie Pańska muza uderza w struny szlachetniejszego instrumentu. My tego, oczywiście, zagwarantować nie możemy. Całe ryzyko po Pańskiej stronie.

„Anmar" w Lublinie. Znajduje się Pan w takim okresie swego życia, kiedy trudno rozwiązywalne kłopoty sercowe skłaniają do „wierszowania". Ileż lektur moglibyśmy sobie zaoszczędzić, gdyby wybranki naszych korespondentów były bardziej łaskawe. Na szczęście w Pańskim wieku tego rodzaju dolegliwości szybko ustępują. Takie sprawy przeżywa się bardzo intensywnie i bardzo prędko — całkowicie wystarczy okres jednego roku szkolnego. Wakacje przed Panem. Życzymy dobrego wypoczynku. We wrześniu spojrzy Pan na te kwestie inaczej. Wierszyki zaś, jeśli się nie zgubią, będzie Pan kiedyś oglądał z lekką zadumy, rozmyślając nad tym, jak to się człowiek potrafi zmienić, wydoroślać...

„Legór" w Krasnymstawie. Ortografia, interpunkcja, czytelne pismo — nad tym trzeba wpierw popracować. Gdy Pan opanuje te sprawności, będziemy mogli przedzierać się bez irytacji przynajmniej przez zewnętrzną warstwę Pańskich tekstów.

B. A. w Chrobierzu. Sądząc z nadesłanego tekstu, musimy stwierdzić, że te wiersze, które posiada Pani w zapasie, niezbyt nas zainteresują.

„Kagan" w Rudniku. Mierzy Pan w tematy, które przez satyryków różnej maści dawno już zostały wyeksploatowane na wszystkie możliwe sposoby. Czy rzeczywiście nie dostrzega Pan nic nowego w naszym życiu, bardzo przecież bogatym, a godnego pióra satyryka?

A. M. w Grażanicach, A. L. we Wrocławiu, S. P. w Rzeszowie, M. K. w Żurominie, E. O. w Warszawie — nie skorzystamy.

Film, kino, widz...

— Muszę skoczyć na ten film, bo napisałem o nim recenzję.

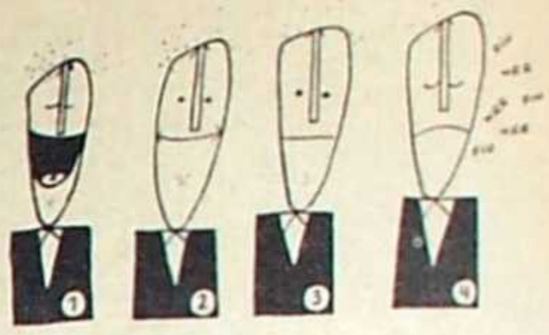

Polska komedia.

— Mój mąż, proszę pana, każdy film potrafi przeżywać...

Rys. L. Szałęcki

NOTY i notki

„FORUM" ma wielce zobowiązujący podtytuł: „Przegląd prasy światowej". Redakcja czuje się tym rozgrzeszona, zwłaszcza gdy chodzi o ostatnią stronę, więc tekstem i fotografią harcuje na bliskich przedpolach czystej pornografii, no bo niby to tylko „przegląd". Ale jeżeli tak, to zastanawiam się dlaczego w ramach przeglądu bardzo rzadko daje się coś o sporcie, a prawie nigdy nic o plastyce czy muzyce. Prezentowano już czasopismo „Playboy", a nigdy np. „L'Equipe".

KAPITAN (I MAJOR) Kloss; czterej pancerni i całe armie — nie tylko polska, powinny chodzić w — hm — gaciach. Igor Smiałowski w swoich zresztą ciekawych „Anegdotach teatralnych" („Świat" nr 25) pisze, że pewien dyrektor teatru ubrał aktorów, grających żołnierzy, „tylko w mundury", a po wyniesieniu fortepianu, za którym stali, okazało się, że nie posiadali spodni. To prawda, że encyklopedia PWN nie zawiera hasła „mundur" (co swoją drogą dziwi), ale wystarczy zajrzeć do poczciwego, przedwojennego Gutenberga, aby dowiedzieć się że mundur to nie tylko bluza, lecz także spodnie, czapka, buty, pas, itp. — wszystko razem.

JAK JUŻ O MUNDURZE, to z nieco innej beczki. W piątek 20 czerwca wieczorem zamiast Agatki i Jacka jakiś pan przedstawiał dzieje sympatycznego wilka (nie wilczura) „Borka", który zresztą na rysunku przypominał raczej kundla. Autor posłał „Borka" na naukę do szkoły milicyjnej, w której bardzo miły podoficer uparcie salutował lewą ręką. Mniejsza o zamieszanie w dziecięcych główkach, ale jak będzie wyglądało wykształcenie „Borka"?

POD PSEM — tym razem czystej rasy buldogiem — przebiegała jedna z telewizyjnych transmisji mistrzostw Europy w boksie. Jeszcze nie było wiadomo, że poniesiemy tam następną klęskę narodową, ale telewizja przerwała transmisję dosłownie 10 sekund przed pokazaniem, jak głosowali sędziowie, co dla milionów kibiców było bardzo istotne. Tytułem rekompensaty przez pół minuty oglądaliśmy fotografię owego buldoga, który na szczęście języka nie pokazał.

JAK SIĘ OKAZUJE mamy w kraju niezwykły statek, może to nawet unikat w skali światowej. Oto jedno z warszawskich biur matrymonialnych co pewien czas wynajmuje wiślany statek „Syrenę", na którym urządza wieczorek zapoznawczy dla 250 samotnych pań i panów, jak wykazuje praktyka w wieku od 18 do 87 lat. Podobno na pokładzie „Syreny" skojarzono już 10 tys. par. Nic dziwnego, gdy pod stopami się kołysze, człowiek i brzytwy gotów się schwycić.

SPRAWOZDAWCA SPORTOWY „Kuriera Polskiego" (nr 145) takie oto słowa włożył w usta fotografika sportowego Janusza Szewińskiego: „Fotoreporter na boisku niewiele widzi i zupełnie nic nie wie". Z kontekstu wynika, że ów fotoreporter, fotografik sportowy i mąż pani Ireny to jedna i ta sama osoba. Całe szczęście, że pani Irena Szewińska nie tylko tego dnia bardzo dobrze widziała start, tory biegu i metę, a także widziała co najmniej to, co się dzieje na całej bieżni.

W LUBLINIE przebywała delegacja pocztowców krakowskich, którzy — jak doniosła prasa codzienna — wiele lubelskich przykładów zastosują u siebie. O rety, — mam list, który z Poznania do Lublina dotarł po 5 dniach, a z Muszyny po 5 dniach.

LAUREATEM bardzo mizernie obsadzonej białostockiej Wiosny Muzycznej był zespół „Alekxander Herman Piano — Herkulesy Club", w którym występowało aż dwóch studentów. Aż — bo przed rokiem w tym studenckim zespole nie było ani jednego studenta.

UWAGA, UWAGA — niebywała okazja! Jak doniosły „Nowiny Rzeszowskie" (nr 155) „Centralne Więzienie w Rzeszowie, Plac Gwardii Ludowej 2, zatrudni na terenie Bieszczadów w miejscowości Łupków i Moszczaniec pracowników z wyższym wykształceniem ekonomicznym i pedagogicznym". Inżynierowie, lekarze i inni — nie martwcie się, na was też przyjdzie kolej.

JOD